

Krzysztof Budziakowski
My, polani
i inne szkice



Krzysztof Budziakowski
My, polani
i inne szkice

Krzysztof Budziakowski
My, polani
i inne szkice

moim wnukom
dedykuję



Copyright by Krzysztof Budziakowski
Copyright for this edition by ARCANA 2021

Redakcja: Zuzanna Dawidowicz
Projekt okładki: Konrad Glos i Krzysztof Budziakowski
Na okładce wykorzystano obraz Eugeniusza Muchy
Naznaczeni czerwienią (olej na płótnie 50 cm × 73 cm).
Zdjęcie – archiwum prywatne autora

ISBN 978-83-65350-69-5

Wydanie pierwsze, Kraków 2021
ARCANA
Ul. Dunajewskiego 6
31-133 Kraków
Tel. 12 422-84-48
www.arcana.pl

*Tęgo musimy się najbardziej wystrzegać, byśmy
zwyczajem owiec nie postępowali za stadem,
ciągnącym na przodzie, idąc nie tam, dokąd iść
trzeba, ale tam, dokąd się zwykło.*

Seneka

Spis treści

1. Wstęp – Kazimierz Dadak	9
2. My, polani	21
3. Jakiej świadomości historycznej Polaków potrzebują przeciwnicy Polski.	43
4. List otwarty do Malanowskiego i Partnerów .	57
5. Ludzie małopokształtni	73
6. Krytyka terapii duszy polskiej	93
7. Co my, polscy obywatele, możemy zrobić dla pojednania narodowego i zbudowania zgody społecznej?	117
8. Komentarze bezpartyjne	133
9. Byłem podziemnym wydawcą	157
10. Nota o autorze	187

Wstęp

Krzysztof Budziakowski, działacz antykomunistycznego podziemia, myśliciel, inicjator powstania i redaktor naczelny szeregu pism społeczno-politycznych, społecznik, współzałożyciel NZS, przedsiębiorca, a także poeta. Narzuca się więc określenie – człowiek renesansu, ale chyba nade wszystko pasuje do niego określenie – człowiek (rozwważnego) czynu. W polskim kontekście, w którym królują albo czczą gadanina, albo nieprzemyślane porywy, jest to miano ze wszech miar zaszczytne.

Niemniej, zanim w kilku zdaniach uzasadnimy tę ocenę, skupmy się na tym aspekcie działalności Krzysztofa Budziakowskiego, który siłą rzeczy wywołuje największe zaniepokojenie i podziw niżej podpisanego – czyli na eseistyce. Niniejsza publikacja zawiera osiem jego szkiców, wszystkie najwyższego lotu. Zadziwia zakres zainteresowań Autora, zwięzłość i logika wypowiedzi, a także odwaga stawianych tez. Aby nie zabierać zbyt wiele czasu, zatrzymujemy się tylko nad kilkoma.

W *Komentarzach bezpartyjnych* znajdujemy fragment, który na pierwszy rzut oka wygląda na niespotykaną herezję:

Gdyby Rosjanie nie uwolnili Polski od Niemców, ci, zgodnie ze swoim precyzyjnym *Generalplan Ost*, w bestialski sposób zamordowaliby większość Polaków, pozostawiając przy życiu tylko około trzech milionów niewykształconych pracowników fizycznych jako swoją niewolniczą służbę. Plan likwidacji narodu polskiego mieli Niemcy, a nie Rosjanie.

Dzisiaj Niemcy są naszymi sojusznikami i ważnymi partnerami gospodarczymi, a Rosjan uznajemy za wrogów.

To jest niezwykle ostre spojrzenie na stosunki z tymi dwiema ościennymi potęgami, ale jakże trafne.

Jeśli sięgniemy pamięcią wstecz, to okaże się, że I i II Rzeczpospolita zakończyły żywot w podobnych okolicznościach. Stojąc wobec kłopotów wojskowych podczas wojny z Turcją, w 1788 roku Rosja zwróciła się do Rzeczypospolitej Obojga Narodów z propozycją podniesienia stanu wojska do 100 tysięcy i użycia go w zmaganiach z Imperium Otomańskim. Ten pomysł, który w praktyce podważyłby status Polski jako rosyjskiego protektoratu, wywołał wielkie zaniepokojenie w Berlinie. Ambasador pruski, a potem sam król zwrócili się do polskiego Sejmu z propozycją zawarcia sojuszu wojskowego. Co więcej, Prusy domagały się przeprowadzenia w Polsce reform. Warunki te zostały spełnione, rosyjską ofertę odrzuciliśmy,

uchwaliliśmy Konstytucję 3 maja i zawarliśmy z Prusami przymierze wojskowe.

Te kroki musiały spowodować rosyjską reakcję, która niebawem nastąpiła, gdy w 1792 roku na „pomoc” konfederacji targowickiej przysły wojska carycy Katarzyny II (tak na marginesie urodzonej w Szczecinie, który wówczas był częścią królestwa Prus, jako Sophie Friederike Auguste von Anhalt-Zerbst). Mimo przymierza zawartego zaledwie dwa lata wcześniej Prusy nie wysłały do Polski korpusu posiłkowego. Co więcej, dowódca armii litewskiej Ludwik Fryderyk książę Wirtemberski, kuzyn króla Prus, dokonał zdrady. Symulował ciężką chorobę i nie objął obowiązków dowódczych, skutkiem czego pozbawiona jednolitego dowodzenia armia litewska została łatwo rozbita przez Rosjan. Książę Wirtemberski o swej wiarołomności na bieżąco informował króla Fryderyka Wilhelma II.

Kropkę nad „i” Prusy postawiły podczas powstania kościuszkowskiego, gdy pod dowództwem samego Fryderyka Wilhelma II ramię w ramię z wojskami carskimi brały udział w bitwie pod Szczekocinami i w oblężeniu Warszawy. Po upadku Krakowa zaś Prusacy wywieźli prawem kaduka z Wawelu klejnoty koronne, włącznie z tak zwaną koroną Chrobrego, i je zniszczyli (obecnie pokazywana korona Chrobrego jest tylko repliką). Polski miało nie być i wszelkie ślady po niej musiały zostać zatarte.

Winston Churchill, parafrazując aforyzm hiszpańskiego myśliciela George’a Santayany, powiedział „ci,

kórczy nie wyciągają wniosków z [własnej – K.D.] historii, są skazani na jej powtarzanie”. Przywódcy Sanacji, niepomni doświadczeń z lat 1788–1795, wplątali się w rozmowy z Niemcami na temat wspólnej wyprawy przeciwko ZSRR. Inicjatywa wyszła ze strony Berlina, w tym też celu w latach 1935–1938 Hermann Göring przyjeżdżał na polowania do Białowieży (w lutym 1939 r. zastąpił go Heinrich Himmler). Podczas gdy prawa ręka Hitlera miała polskich przywódców (pewnie „przy wódeczce”, bo czy jest możliwe niezakrapiane polowanie, i to w lutym?) wizją wspólnej antykomunistycznej krucjaty, Niemcy przygotowywali nie tylko szczegółowe plany wojny z Polską, ale i jej rabunku. W jesieni 1939 roku w muzeach, bibliotekach i kościołach pojawili się przedstawiciele okupanta ze szczegółowymi listami zabytków, które mają być im wydane. Później hitlerowcy „rabowali” także polskie dzieci, o czym przypomina Krzysztof Budziakowski (*Jakiej świadomości historycznej Polaków potrzebują przeciwnicy Polski?*).

Pakt Ribbentrop–Mołotow, bez którego Niemcy nie odważyliby się dokonać napadu, został zawarty z inicjatywy Berlina. Tak jak Polsce w 1788 roku, tak i Stalinowi zaproponowano warunki, na które nie mógł nie przystać – nie tylko pół Polski, ale i kraje bałtyckie, plus wolna ręka w Finlandii i Rumunii, a także pomoc w zbrojeniach. Na usprawiedliwienie polskich polityków można nadmienić, że Stalin też wpadł w misternie zastawione na niego sidła i tylko obszar, klimat

i duża doza szczęścia uchroniły ZSRR od podzielenia losu Rzeczypospolitej Obojga Narodów i II RP.

Niestety inne drastyczne oceny dokonywane przez Autora są tak samo trafne jak ta omówiona powyżej. Oto fragment tekstu *Krytyka terapii duszy polskiej*:

Najkrótsza historia drugiej wojny światowej brzmi całkowicie banalnie: Niemcy i Rosjanie napadli na nas, bo wiedzieli, że jesteśmy słabi i przegramy. My też wiedzieliśmy, że mamy za mało żołnierzy, za mało czołgów, za mało armat, za mało samolotów, ale nie chcieliśmy jako naród wyłożyć na to odpowiedniej ilości pieniędzy. I dlatego przegraliśmy.

W Polsce panowało i nadal panuje głębokie przekonanie, że przed 1 września 1939 roku z finansowego punktu widzenia zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo, i jako dowód na to podaje się (zgodnie z prawdą), że około 1/3 budżetu przedwojennej Polski było właśnie przeznaczane na wojsko. Kłopot w tym, że ten miernik mówi tylko o priorytetach budżetowych, ale nie mówi nic na temat obciążenia podatkowego obywatela. Podatki w II Rzeczypospolitej były niskie, na przykład w 1929 roku całkowite dochody rządu centralnego RP wyniosły 9,3 procent PKB, podczas gdy w Bułgarii było to 12 procent PKB, w Jugosławii 15 procent, w Czechosłowacji 15,4 procent, a na Węgrzech 22,8 procent. Z wyjątkiem Czechosłowacji były to państwa będące na podobnym poziomie rozwoju gospodarczego albo i niższym od naszego.

Aby dozbroid wojsko przed wybuchem drugiej wojny światowej, państwo polskie nie podnosiło podatków, tylko rozpisywało wewnętrzne pożyczki.

Nie inaczej było niecałe półtora wieku wcześniej. Szacuje się, że w 1785 roku dochody państwa w przeliczeniu na głowę mieszkańca wyniosły w krajach naszego regionu (we wszystkich podstawą gospodarki było rolnictwo): w Rosji i w Prusach 6 szylingów, na Węgrzech 12, w Czechach i Morawach 14, w Polsce zaś 1 (słownie: jeden) szyling. Mimo tak niezwykle niskiego obciążenia podatkowego pobór danin wprowadzonych w celu stworzenia 100-tysięcznej armii po uchwaleniu Konstytucji 3 maja przebiegał opornie i tym sposobem w 1792 roku, gdy przyszło odpierać napaść wojsk carycy Katarzyny, Rzeczpospolita Obojga Narodów zdołała wystawić tylko niecałe 70 tysięcy żołnierzy, w dodatku słabo wyszkolonych. Czy maksyma Santayany nadal ma zastosowanie w wypadku naszego państwa?

Troska o przyszłość kraju przebija z każdej strony niniejszej publikacji. Tym, którym wydaje się, że jest to przejaw nadmiernego kasandryzmu, przypomnijmy, że żadnemu posłowi i senatorowi głosującemu za przyjęciem Konstytucji 3 maja nie przychodziło do głowy, że Rzeczpospolita Obojga Narodów nie dotrwa nawet do piątej rocznicy jej uchwalenia. Podobnie, gdy prezydent Ignacy Mościcki w sierpniu 1938 roku przyjmował podarek od Hermanna Göringa (luksusowy samochód marki Mercedes Benz

przeznaczony do polowań), na pewno przez myśl mu nie przeszło, że niemal dokładnie rok później lotnictwo dowodzone przez darczyńcę będzie bezlitośnie bombardować jego ojczyznę.

Albowiem w polityce światowej nie królują imponderabilia, tylko interes narodowy. Krzysztof Budziakowski w pełni dostrzega ten fakt, piętnuje nadmierne przywiązanie do tych pierwszych i zaleca stosowanie się do tego drugiego. Jednocześnie Autor postuluje zwrócenie się ku nadrzędnym wartościom, duchowemu doskonaleniu się, odrzucaniu pokus. Nie ma w tym żadnej sprzeczności, albowiem kierowanie się interesem narodowym (czy w wypadku komunizmu – interesem klasowym), który nie jest osadzony w wartościach opartych na obiektywnej prawdzie, jest równoznaczne z wejściem na równię pochyłą – na jej końcu zaś jest ludobójstwo, czego namacalnymi przykładami były Holocaust, czystki stalinowskie i chińska rewolucja kulturalna. W Stanach Zjednoczonych każdy polityk odmienia termin „interes narodowy” przez wszystkie możliwe przypadki, ale wszyscy rozumieją to określenie właśnie w kontekście takich wartości jak demokracja, poszanowanie prawa czy swobody obywatelskie.

Dla chrześcijan wiara nie może być oderwana od rozumu (Jan Paweł II, *Fides et ratio*). Otaczający nas świat jest bardzo niedoskonały i naszym obowiązkiem jest stwierdzenie tej oczywistości i działanie zgodne z tą konstatacją. Już Rzymianie mawiali:

homo hominis lupus est. Jezus, posyłając apostołów w świat, powiedział im: „Oto Ja was posyłam jak owce między wilki. Bądźcie więc roztropni jak węże, a nieskazitelni jak gołębie!” (Mt 10,16).

Dbłość o interes narodowy to jest właśnie przejaw roztropności, jej brak zaś przejawia się w oczekiwaniu, że świat sam z siebie uzna nasze zasługi i z własnej i nieprzymuszonej woli da nam to, co nam się słusznie (jak uważamy, bywa – że subiektywnie) należy. Jednocześnie właściwie pojęta obrona interesu narodowego nie może oznaczać nikczemnego podstępstwa, wymaga trzymania się wartości, na których oparta jest cywilizacja chrześcijańska, owej „nieskazitelności gołębiej”. Ilu Polaków ma tę maksymę wrytą w pamięć? Czyż nie jest całkowicie słuszną uwaga wyrażona przez Autora, że to, „co miało wnikać i przekształcać [chrzest – K.D.], spłynęło po nas. Ciała mamy polane, dusze nieumyte” (*My polani*). Daleko jest nam do narodu, który „przetrawił” Pismo Święte i w codziennym życiu, w polityce, trzyma się zawartych w nim napomnień.

Za Krzysztofem Budziakowskim na tych stronach przypominamy naszą tragiczną przeszłość, bo wbrew opinii swego czasu wyrażonej przez Francisca Fukuyamę historia nie tylko nie zakończyła swego biegu, ale wręcz przeciwnie – przyspieszyła. Stąd też przed nami stoją zarówno zagrożenia, jak i możliwości. Aby odeprzeć zagrożenia i wykorzystać nadarzające się okazje, Polska musi być mocna

gospodarczo, politycznie i wojskowo. Niestety ostatnie trzydzieści lat jasno wykazało, że polskie elity są niezdolne do wypracowania długofalowej strategii rozwoju kraju.

Żeby Polska w pełni wykorzystwała drżemiące w niej możliwości, trzeba nam wielu „Budziakowskich” – ludzi zdolnych do długotrwałego wysiłku, dbających o dobro całego narodu. Polaków świadomych tego, że hasło „pierwszy milion trzeba ukraść” stanowi nie tylko hańbę narodową i jaskrawe zaprzeczenie naszej chrześcijańskiej tradycji, ale jest też strategią prowadzącą do narodowej zguby, ponieważ okrada się współrodaków. Autor całym swoim życiem daje przykład tego, że rozważną, wytrwałą pracą da się wiele osiągnąć, nawet w najbardziej niesprzyjających okolicznościach.

Krzysztof Budziakowski w latach 1980–1989, czyli w warunkach stanu wojennego i komunistycznej opresji, zdołał wydać w tak zwanym drugim obiegu (czyli w świetle ówczesnego prawa nielegalnie) kilkadziesiąt książek i czasopism, a także drukował polską edycję „Zeszytów Historycznych” Instytutu Literackiego w Paryżu. Ten niezwykły wyczyn był możliwy dzięki temu, że Autor unikał patetycznych gestów, zachowywał ostrożność, bo jak sam przyznaje, „bohaterstwem” (w sensie stawiania zbrojnego oporu) nigdy nie był zainteresowany (*Byłem podziemnym wydawcą*). On po prostu „robił swoje” i tym sposobem stał się jednym z bezimiennych bohaterów,

k którzy walnie przyczynili się do upadku supermocarstwa, jakim były Sowiety.

Po zmianach zapoczątkowanych wyborami do „kontraktowego” Sejmu w 1989 roku Krzysztof Budziakowski założył własną firmę, którą po dziś dzień kieruje. Jako przedsiębiorca odniósł sukces. Niemniej cały czas pozostaje wierny ideałowi służenia współrodakom, tym razem jako inicjator i czołowy sponsor szeregu akcji dobroczynnych, takich jak na przykład „Dom od Serca” (pomoc w odbudowie domów zniszczonych przez powódzie), medal „Niezlomnym w Słowie” (członek kapituły) i „Kino Odkrywców Historii” (program oświatowy dla młodzieży), a w szczególności Fundacji im. Zygmunta Starego (fundator i prezes).

Krzysztof Budziakowski patrzy w naszą przeszłość i nie zauważa jakiegoś fatum, złowieszczego przeznaczenia, które powoduje nieustanne narodowe tragedie. Ideę Polski jako „Chrystusa narodów” uważa za herezję i czas najwyższy, aby jej odrzucenie zostało nad Wisłą powszechnie uznane za słuszne. Stwierdzenia, że „przekonanie, że nie pracą i rozumnym wysiłkiem, lecz cierpieniem i ofiarą uzyskamy wyzwolenie oraz należny nam, w naszym mniemaniu, poziom życia”, stanowi „grupowe, grzeszne podszywanie się pod Jezusa Chrystusa”, a także, że „bycie ofiarą staje się jednocześnie wygodnym pretekstem umożliwiającym zupełnie nieprawdopodobne lenistwo ludziom, którzy skądinąd niewątpliwie pragną

być polskimi patriotami” (*Krytyka terapii duszy polskiej*) – powinny znajdować się na pierwszych stronach podręczników do wiedzy o społeczeństwie.

Winę za obecny, pożałowania godny stan Polski Autor składa na karb „skryptu” przekazywanego nam w dzieciństwie, który to skrypt drzemie w polskiej podświadomości, a także tylko ograniczonej, płytkiej chrystianizacji kraju. Niniejszy zbiór esejów przedstawia szereg recept wyjscia z pułapek, które zastawia na Polskę nasza przeszłość. Zawarte w nich przemyślenia winny wywołać głęboką refleksję nad stanem ducha i umysłu Polaków i pomóc nam wyzwolić się z okowów przeszłości.

Krzysztof Budziakowski nie waha się przed stawianiem ostrych tez, ale wbrew temu, co dziś jest tak modne, nie mówi „mocno”. Jak przystało na filozofa, zajmuje się ideami i jak ognia unika argumentów *ad hominem*. Autor wznosi się ponad jałowe spory wylewające się ze stron wielu gazet i portalów internetowych, płynące z programów radiowych i telewizyjnych. Lektura jego wypowiedzi stanowi skuteczną odtrutkę wobec potępieńczych swarów, które od pokoleń stanowią przeszkodę na drodze do odrodzenia się prężnego i silnego polskiego państwa, takiego, jakie na przykład istniało w dobie pierwszych Piastów, o czym Autor nam przypomina (*My polani*).

Pisarstwo Krzysztofa Budziakowskiego zasługuje na najwyższe uznanie. Nie ma w nim śladu bicia się w piersi za niepopelnione zbrodnie ani defetyzmu, że

nigdy niczego dobrego nie osiągnęliśmy i jedynym ratunkiem przed stojącymi przed nami kłopotami jest wtopienie się w bliżej nieokreśloną „europejskość”, ani taniej tromtadracji, że drugiego takiego narodu ze świecą szukać na całym świecie. Jego oceny są wyraziste, niemniej wyważone i w pełni uzasadnione, co jeszcze raz należy podkreślić.

Ten zbiór esejów stanowi kolejny wysiłek Autora w ramach jego prywatnego programu mającego na celu uzyskanie przez Polskę jak najdalej idącej suwerenności. Nie sposób nie zgodzić się z przedstawioną przez niego diagnozą – potrzebne jest głębokie przewartościowanie sposobu myślenia i działania Polaków. Miejmy nadzieję, że tezy zawarte w załączonych esejach staną się przedmiotem szerokiej dyskusji i będą stanowić milowy krok w procesie wyrywania się Polaków z tego „chocholego tańca”, w którym jesteśmy pogrążeni od trzech stuleci.

Kazimierz Dadak

My, polani

Wydawałoby się, że chrześcijaństwo zaspokaja nasze podstawowe pragnienie metafizyczne, jakim jest chęć poznania Największej Tajemnicy Świata. Sondaże przeprowadzone w ostatnich latach przez ośrodki badania opinii publicznej w Polsce przyniosły jednak zaskakujące wyniki wskazujące na zagubienie i niepewność większości respondentów. Kilka procent z podających się za chrześcijan czy katolików nie wierzy w istnienie Boga! We wszystkie dogmaty katolickie, również w życie po śmierci i zmartwychwstanie, wierzy tylko około 35 procent, ale i w tej grupie większość ma jednocześnie przekonania pochodzące z innych religii, takie jak na przykład wiara w reinkarnację. Minęło ponad tysiąc lat od wprowadzenia chrześcijaństwa na naszych ziemiach, a królują tu herezje i kucanie zamiast klęknięcia w kościołach.

Jak wiadomo, wszystko zaczęło się od Mieszka I, lecz chrystianizacja powszechna dokonała się za czasów jego syna Bolesława. Plan zapewne był taki:

zostać najpierw królem słowiańskim, a później może nawet ... cesarzem. Wiele na to wskazuje.

Bolesław kontynuował przełomowy projekt polityczny swego ojca, natomiast marzenia i rozmach miał znacznie większe. Agenturę wpływu wśród dostojników cesarstwa opłacał sownie, bez zachowania jakiegokolwiek dyskrecji, a nawet w sposób manifestacyjny. Budziło to prawie spazmatyczne oburzenie kronikarza biskupa Thietmara¹ i innych, ale wśród większości budowało wizerunek niezwykle bogatego i szczodrego księcia.

Szukał Bolesław również protektorów kościelnych, stąd jego świetne relacje z biskupem praskim Wojciechem, późniejszym świętym, na którego kłopoty ściągnął pewien sen.

Przyśnił mu się bowiem Jezus, który powiedział: „Jam jest Jezus Chrystus, którego sprzedano i oto znowu sprzedają mnie Żydom, a ty sobie chrapiesz”. Sen ten objaśnił Wojciechowi jego przełożony: „Gdy chrześcijanina sprzedaje się Żydom, to sprzedaż odczuwa sam Chrystus, gdyż myśmy Jego ciałem i członkami, w Nim się ruszamy i jesteśmy”². Praga była wtedy jednym z największych centrów handlu ludźmi, którym to handlem zajmowali się przede wszystkim kupcy żydowscy i arabscy. Rozpoczął więc Wojciech

¹ *Kronika Thietmara*, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas”, Kraków 2014, s. 99.

² J. Kanapariusz, *Świętego Wojciecha żywot pierwszy*, Słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2009; zob. też *Pomniki dziejowe Polski*, Seria II, t. 4, cz. 1, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1962.

walkę z handlem chrześcijanami, a także wykupywał ich z niewoli. Jego działania były jednak bezskuteczne wobec wielkości dochodów uzyskiwanych na tym procederze. Postanowił zatem opuścić Pragę.

Ambicje Bolesława szły jednocześnie w parze z planami bardzo mu życzliwego Ottona III, który zamierzał odbudować cesarstwo³. Łatwo możemy te plany odczytać choćby z miniatury w ewangeliarzu wykonanym w klasztorze Reichenau na zamówienie cesarza. Przedstawiono na niej cztery koronowane postaci składające hołd Ottonowi III. Są tam one nazwane następująco: Roma, Galia, Germania i Sclavinia. Sclavinia, czyli Słowiańszczyzna. Te cztery krainy, te cztery królestwa, miały w planie Ottona stanowić części jego cesarstwa.

Kandydat na króla Słowiańszczyzny mógł być tylko jeden – Bolesław, a był to wtedy nie byle kto. Pochodził z ważnego i wpływowego rodu Piastów, a przez matkę – z rodu Przemyślidów władających Czechami. Jego ciotka Adelajda to prawdopodobnie pierwsza żona króla Węgier Stefana, jego siostra Świętosława to najpierw królowa Szwecji, a później Danii, Norwegii i... Anglii! Jej synowie, czyli siostrzeńcy Bolesława i wnuki Mieszka I, to znani nam potężni królowie Północy: Olof I, Harald I i Kanut Wielki. Piastowie stworzyli świetnie zorganizowane państwo i uzyskiwali olbrzymie dochody z niezwykle

³ A. Nowak, *Dzieje Polski*, t. 1, Biały Kruk, Kraków 2014, s. 104.

efektywnej działalności gospodarczej. Nie było tak, jak by chcieli niektórzy, że dopiero w X wieku przyszli „Niemcy” i nauczyli nas wszystkiego. Bolesław w sposób naturalny marzył więc o władzy większej niż miał, a czytając opisy jego pewności siebie, przebiegłości i bogactwa, możemy być pewni, że się w tych marzeniach nie ograniczał.

Słowiańskie plemiona podlegające władzy Piastów stały się nominalnie chrześcijańskie, nie wystarczało to jednak, aby ich książę mógł być królem. W *Żywocie św. Stefana*, króla Węgier, czytamy, że mimo starań Mieszko nie otrzymał od papieża korony królewskiej z powodu „barbarzyńskich obyczajów jego narodu”. Należało więc je zmienić.

Nie były to wszakże czasy pierwotnego chrześcijaństwa, które miało, jak opisywał to ze zdziwieniem Pliniusz Młodszy, siłę i szybkość rozprzestrzeniania się zarazy. Instytucjonalizowane, hierarchizowane i wchłaniane od III wieku przez struktury władzy państw europejskich, chrześcijaństwo traciło już swoją pierwotną, tajemniczą energię, a w skali masowej stawało się projektem cywilizacyjnym lub politycznym. Coś zostało zapomniane, ukryte lub zagubione.

KTO BĘDZIE SPRZEDANY?

Do skutecznej ewangelizacji potrzebna byłaby armia tysięcy księży i zakonników znających język słowiański, a tej Bolesław nie posiadał. Ludność należąca do

podległych mu plemion miała swoje wielowiekowe wierzenia i swoich bogów, a także własne rozumienie dobra i zła. Do tego, by stwierdzić, kto jest dobrym człowiekiem, wcale nie trzeba było być chrześcijaninem. Czy opowieść o żydowskim proroku, który umarł ukrzyżowany i podobno zmartwychwstał, mogła porwać poddanych Bolesława? Wątpliwe. Tym bardziej, że handlujący ludźmi przedstawiciele narodu tego proroka źle się Słowianom kojarzyli i byli źródłem ciągłego strachu.

Aby przekonać podległą sobie ludność do chrześcijaństwa, potrzebny był spektakularny pomysł i szybki plan jego realizacji. Przymus nic by tu nie dał. O skomplikowanej drodze do niebieskiego królestwa nie miał im kto opowiedzieć. Co więc mogło być dobrą nowiną dla ludzi żyjących w ciągłym zagrożeniu? Obietnica, że jeśli się ochrzczą, to nie zostaną sprzedani do odległych krain, z których się nie wraca.

Jak wiemy na podstawie kronik tego okresu, masowe chrzty ludności technicznie organizowane były tak, że mieszkańcy danej miejscowości wchodzili do rzeki, jeziora lub morza, a ksiądz polewał ich wodą. Czy setki i tysiące ludzi polewanych wodą przez duchownych niemówiących w ich języku mogło rozumieć, że to polewanie wodą to chrzest oczyszczający z grzechu pierworodnego? I czym jest grzech pierworodny?

Wprowadzenie przez Bolesława zakazu sprzedaży chrześcijan dawałoby narzędzie do szybkiej

chrystianizacji poddanych, którzy choć nijak nie pojmowali, czym był chrzest, to jednak świetnie rozumieli, że kto zostanie polany, ten nie będzie sprzedany. Musiało to zarazem zjednywać roztropnemu władcy wielką sympatię biskupa Wojciecha, który dzięki Bolesławowi czuł się sprawcą tak wielkiego dobra.

Nie mamy jednoznacznych, pisanych dowodów w tej sprawie, ale opowiadanie historii średniowiecza to stawianie mniej lub bardziej spójnych hipotez⁴. Wiemy, że Wojciech opuścił Pragę, bo nie chciał przebywać w miejscu, w którym sprzedawano chrześcijan, natomiast chętnie gościł na dworze Bolesława. Wiemy też z wielu źródeł, że handel ludźmi w Europie w okresie rządów Bolesława całkowicie się załamał. Podaż rynkowa zniewolonych ludzi spadła tak drastycznie, że cesarz Henryk II zwołał w 1006 roku synod, na którym zabronił sprzedawania chrześcijan kupcom pogańskim, aby nie tracić tych zasobów ludzkich, jakie cesarstwo jeszcze posiadało.

⁴ W *Kronice Thietmara* (dz. cyt., s. 130), pisanej na przełomie X i XI wieku, czytamy: „Jest w kraju Redardów [zachodnich Słowian – A.B.] pewien gród [...]. W grodzie tym znajduje się tylko jedna świątynia, zbudowana misternie z drzewa i spoczywająca na fundamencie z rogów dzikich zwierząt. Jej ściany zewnętrzne zdobią różne wizerunki bogów i bogiń – jak można zauważyć, patrząc z bliska, w przedziwny rzeźbiony sposób, wewnątrz zaś stoją bogowie zrobieni ludzką ręką, w strasznych hełmach i pancierzach, każdy z WYRYTYM U SPODU IMIENIEM. Pierwszy pośród nich nazywa się Swarozyc [...]” – pojawia się więc pytanie: skąd te napisy, skoro przyjmuje się, że Słowianie przed chrztem byli niepiśmienni?

Bolesław wprowadził ponadto bardzo restrykcyjne „przepisy wykonawcze do chrześcijaństwa”. I tak na przykład nieprzestrzegający postów mieli wyłamywane zęby, a cudzołożnikom przybijano gwoździem mosznę do mostu targowego, dając do ręki nóż i wybór: śmierć albo samodzielne obcięcie sobie tej części ciała. Jaką zaś karę wymierzano kobietom, które źle się prowadziły, a co również opisuje kronikarz biskup Thietmar, pominiemy ze względu na nieprawdopodobną drastyczność.

Gdy Wojciech przybył na dwór Bolesława w końcu 996 lub na początku 997 roku, do ochrzczenia na podległych Piastom terytoriach pozostał wyłącznie Gdańsk. I właśnie stamtąd, po przeprowadzeniu masowego chrztu w morzu, wyruszył przysły święty na misję chrystianizacyjną do Prus, gdzie został zabity, a to stało się przesłanką jego kanonizacji.

Liczne świadectwa mówią o niezwykłym bogactwie Piastów, w szczególności zaś Bolesława. Wielu historyków źródło tego bogactwa widzi w handlu ludźmi. Znając takie relacje jak *Księga podróży* Benjamina z Tudeli, który w połowie XII wieku pisał o Czechach sprzedających Żydom w niewolę własne dzieci, można zasadnie domniemywać, że ludzie do sprzedaży pozyskiwani byli nie tylko w wyniku zdobyczy wojennych, lecz również z prowadzonej planowo hodowli.

Upadek tego handlu musiałby w takim razie oznaczać upadek potęgi finansowej Bolesława. Tak się

jednak nie stało, a wiele wskazuje na to, że państwo Piastów miało świetnie zorganizowaną gospodarkę surowcową i przetwórczą, która najprawdopodobniej była rzeczywistą podstawą jego finansów⁵.

PIENIĄDZE TO ZA MAŁO

Historycy zazwyczaj mają problem z precyzyjną i wyczerpującą odpowiedzią na pytanie: „Skąd się biorą pieniądze?”. Dotyczy to również okresu piastowskiego. Jest jednak sporo przesłanek, na których przy poszukiwaniu odpowiedzi można się oprzeć. Przede wszystkim mamy dowody ciągłości pokoleniowej, a co za tym idzie – pewność międzypokoleniowego przekazywania wiedzy i doświadczeń. Z najnowszych badań genetycznych przeprowadzonych przez prof. Tomasza Grzybowskiego z Collegium Medicum Uniwersytetu Mikołaja Kopernika wynika, że pomimo różnych podbojów i przemieszczania się ludów na terenach Europy i Polski istnieje 70-procentowa zgodność genetyczna między dzisiejszymi Polakami a ludźmi zamieszkującymi tereny między Odrą a Bugiem od kilku tysięcy lat!

Z wykopalisk wiemy, że już cztery tysiące lat przed naszą erą, w epoce kamienia łupanego w rejonie Krzemionek Opatowskich wyprodukowano nie mniej niż 40 milionów siekier, grotów i noży z wydobywanego

⁵ A. Buko, *Archeologia Polski wczesnośredniowiecznej*, TRIO, Warszawa 2011, s. 110–111, 337–340.

tam krzemienia. Były one sprzedawane co najmniej w całej Europie Środkowej i Wschodniej, a sam proces produkcji i dystrybucji wskazuje na wysoki poziom organizacji podziału pracy⁶. Z epoki brązu odkrywane są warsztaty brązownicze, co oznacza, że opanowano tutaj sztukę wydobywania miedzi i cyny⁷. Z epoki żelaza mamy świadectwa istnienia znaczącego ośrodka wydobycia rud żelaza i produkcji hutniczej na Mazowszu⁸. Nieco później powstał największy w barbarzyńskiej Europie ośrodek hutniczy – w Górach Świętokrzyskich, gdzie w co najmniej 55 tysiącach pieców dymarskich wyprodukowano tysiące ton żelaza! Oprócz kopalń powierzchniowych znajdowała się tam, na terenie dzisiejszej miejscowości Rudki, głębinowa kopalnia rud żelaza – jedyna nam znana taka kopalnia działająca w Europie w pierwszych wiekach naszej ery poza granicami cesarstwa rzymskiego. Wiemy również o wydobywaniu srebra, złota, ołowiu, soli, bursztynu w różnych rejonach starożytnej i średniowiecznej Polski⁹.

⁶ A. Jedynek, *Pozyskiwanie i obróbka surowców krzemiennych w młodszej epoce kamienia i wczesnej epoce brązu*, [w:] Ł. Kaczmarek (red.), *Dawna wytwórczość na ziemiach polskich*, Muzeum Początków Państwa Polskiego, Gniezno 2015, s. 9–20.

⁷ W. Blajer, *Młodsza epoka brązu na ziemiach polskich w świetle badań nad skarbami*, Historia Iagiellonica, Kraków 2013.

⁸ M. Woźniak, *Starożytna metalurgia żelaza na ziemiach polskich przez pryzmat Mazowieckiego Centrum Metalurgicznego*, [w:] Ł. Kaczmarek (red.), dz. cyt., s. 41–50.

⁹ D. Rozmus, *Wczesnośredniowieczne zagłębie hutnictwa srebra i ołowiu na obszarach obecnego pogranicza Górnego Śląska i Małopolski*, Księgarnia Akademicka, Kraków 2014.

To zaledwie kilka z wielu przesłanek, z których można wyciągnąć pewny wniosek, że Piastowie i ich poddani korzystali z olbrzymiej wiedzy oraz technicznych umiejętności wypracowanych przez kilkadziesiąt pokoleń górników i hutników.

Badania archeologiczne z tego okresu, a w szczególności metoda dendrochronologiczna¹⁰, wskazują na zakładanie przez Piastów – z niezwykle dużym rozmachem i w skali niespotykanej w tym czasie w Europie – osad służebnych w miejscach nowych odkryć surowców. Przesiedlano do nich duże grupy ludności i rozpoczynano natychmiastową eksploatację odkrytych złóż. Koordynacja, jaką możemy zauważyć, każe domyślać się działania średniowiecznych, słowiańskich geologów, wyspecjalizowanych w poszukiwaniu kopalin. W takiej sytuacji – biorąc pod uwagę pragmatyzm Bolesława – połączenie projektu religijnego: zmotywowanie swoich poddanych do szybkiego przyjęcia chrześcijaństwa, a jednocześnie zdobycie tym uznania wpływowego hierarchy kościelnego Wojciecha, z projektem ekonomicznym: rozwojem gospodarki surowcowej i przetwórczej, wydaje się czymś oczywistym.

Do roku 999, czyli daty napisania przez Jana Kanapariusza dzieła zatytułowanego *Świętego Wojciecha żywot pierwszy* – jak to przekonująco wykazał

¹⁰ Dzięki tej metodzie wiemy również, że Biskupin został założony w tym samym okresie co Rzym (por. L. Moczulski, *Tajemnice wczesnych Słowian*, Bellona, Warszawa 2015, s. 21).

prof. Przemysław Urbańczyk – nie ma żadnych świadectw pisanych istnienia nazwy „Polanie” lub „Polonia”¹¹. Wcześniejsze kroniki i zapisy wymieniają nazwy wielu plemion słowiańskich, lecz nie tego. Mieszko i Bolesław przedstawiani są jako książęta słowiańscy, a nie władcy Polan. Tak zwany *Geograf Bawarski*¹², raport o charakterze szpiegowskim sporządzony około 845 roku dla Ludwika II Niemieckiego przez anonimowego autora, zawiera listę 58 plemion zasiedlających tereny od Łaby aż za Bug, ale nie pojawiają się w nim Polanie. I nagle, od początków XI wieku wszyscy ci Goplanie, Ślężanie, Bobrzanie, Dziadoszanie, Gołeszcy, Wiślanie, Lędzianie i inni stają się Polanami.

ZAWOŁANIE RATUJĄCE WOLNOŚĆ

Najbardziej popularna obecnie etymologia nazw „Polska” i „Polonia” wywodzi je od słowa „pole”. Wydaje się to jednak z wielu powodów błędne. Góra Ślęża, jezioro Gopło czy rzeka Wisła to elementy środowiska przyrodniczego bardzo indywidualne i stworzenie od nich nazw plemion jest czymś naturalnym. Pole natomiast to obszar tak mało charakterystyczny przez swoją powszechność, że utworzona od niego nazwa

¹¹ P. Urbańczyk, *Zanim Polska została Polską*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, Toruń 2015, s. 320–331.

¹² S. Zakrzewski, *Opis grodów i terytoriów z północnej strony Dunaju czyli tak zwany „Geograf Bawarski”*, Armoryka, Sandomierz 2015 (reprint z wydania we Lwowie w 1917 r.).

nie wskazywałaby niczego szczególnie się wyróżniającego. Zastanawiać też musi szybkość, z jaką ta nowa nazwa została przyjęta przez plemiona podlegające Bolesławowi oraz tempo jej rozprzestrzeniania się w Europie w pierwszych latach XI wieku.

Jeśli jednak przedstawiona hipoteza dotycząca wprowadzenia przez Bolesława zakazu handlu chrześcijanami jest prawdziwa, to zawołanie ochrzczonych: „My polani” lub „My poloni”, zawołanie ratujące wolność, zabezpieczające przed sprzedaniem, jest prawdziwym źródłem nazwy narodu polskiego. Ze sposobu traktowania przez Piastów poddanych jak swojej własności wynika, że dla zwykłej ludności nie było wtedy różnicy między poddaństwem a niewolą. Zasadę „polani nie mogą zostać sprzedani” można więc uznać za pierwsze uprawnienie obywatelskie. Forma wprowadzenia chrześcijaństwa w Polsce uzyskuje w takiej interpretacji, mimo swej duchowej powierzchowności i instrumentalności, wartość konstytuującą naszą wspólnotę.

Otton III zmarł przedwcześnie, zabrakło więc jego poparcia dla dalszych planów politycznych Bolesława, lecz chrystianizacja Polski została przeprowadzona skutecznie i całkowicie – wszyscy zostali polani. I za to właśnie kronikarze tacy jak na przykład Adam z Bremy określali Bolesława tytułami Rex Christianissimus – Król Arcychrześcijański, czy Athleta Christi.

Projekt polityczno-cywilizacyjny został częściowo zrealizowany, przekaz duchowy nie. Między innymi

i w taki sposób rozprzestrzeniało się chrześcijaństwo tysiąc lat po Chrystusie, w przeciwieństwie do pierwotnego chrześcijaństwa, które miało własną energię rozwojową.

Chrześcijaństwo w swoich początkach nie tylko nie otrzymywało żadnego wsparcia państwowego czy instytucjonalnego, ale było bardzo gwałtownie i okrutnie zwalczane. Zaskakujące jest więc zarówno niepohamowane tempo jego rozprzestrzeniania się, jak i to, że wzbudzało tak wielkie, religijne zaangażowanie tak wielu ludzi. I lawinowy wzrost liczby wyznawców.

Tłumaczenie tego działaniem nadprzyrodzonym nie wystarczy, tym bardziej że w dzisiejszym chrześcijaństwie aż takiej zapalającej siły nie widać. Ci, którzy twierdzą inaczej, niech sobie odpowiedzą, czy w imię swojej wiary są gotowi stanąć na arenie i zostać publicznie, żywcem zjedzeni przez stado wściekłych z głodu hien. A nie byłaby to szybka śmierć. Takim właśnie sprawdzianom poddawano wielu pierwszych chrześcijan. O czym więc zapomnieliśmy? Albo co zostało ukryte? Przekaz jakiej wiedzy czy praktyki duchowej został przerwany?

WŚCIEKŁOŚĆ MARKA AURELIUSZA

Najbardziej zaskakujące jest to, że w gronie okrutnych i bezwzględnych prześladowców chrześcijan znalazł się również cesarz i filozof stoicki Marek

Aureliusz¹³. Autor wielu myśli, które często dzisiaj cytujemy jako wskazania życzliwej tolerancji, dobroci i filozoficznego dystansu. Jedna z nich brzmi: „Jeżeli postępowanie ludzi jest słuszne, nie powinno się czuć do nich gniewu. Jeżeli niesłuszne, to jasne, że tak postępują niechętnie i nieświadomie”.

Musi zastanawiać, co filozofa myślącego w taki sposób mogło wyprowadzić z równowagi i sprowokować do zabijania chrześcijan. Czy zaprzeczył własnym przekonaniom? Przecież w religii Rzymu było wielu bogów, łatwo została zorientalizowana i zhel-lenizowana. Rzym tolerował i pozwalał na wyznawanie kolejnych religii docierających z innych krain. Za czasów Marka Aureliusza rozwijał się między innymi ezoteryczny kult boga Mitry, mający parę elementów wspólnych z kultem chrześcijańskim. Akceptowani byli wyznawcy bogini płodności Kybele. Jej kapłani w czasie misterii wykonywali ekstatyczny taniec, podobny do wirowania derwiszów, wywołujący stan transu, a zarazem prowadzący do wygłaszania przepowiedni i dokonywania samookaleczeń, łącznie z samokastracją. Świątynie w Rzymie budowano także dla egipskiej bogini Izydy, której kult opierał się na wierze w zmartwychwstanie. Cesarstwo było otwarte na nowych bogów i wciąż powiększało ich liczbę.

¹³ M. Dzielska, *W kręgu problemów religijnych cesarstwa rzymskiego*, [w:] J. Dobosz, J. Strzelczyk (red.), *Chryścianizacja Europy*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Poznań 2013, s. 26.

Jeśli spojrzymy na oficjalne dogmaty chrześcijańskie, to nie ma w nich niczego szczególnie wyróżniającego w politeistycznym świecie cesarstwa rzymskiego.

Skąd więc u Marka Aureliusza, tak łagodnego i wyrozumiałego dla błądzących, ten morderczy gniew na wyznawców nauki Jezusa? Jezusa, który przecież nie tworzył nowej religii, a zawsze przedstawiał się, przynajmniej oficjalnie i publicznie, jako ktoś, kto wypełnia i wzywa do wypełnienia starych zasad religii judaistycznej, również akceptowanej w Rzymie. Marek Aureliusz zarzucający chrześcijanom szaleństwo z dzisiejszego punktu widzenia sam wydaje się szaleńcem z powodu swej całkowicie niezrozumiałej niekonsekwencji¹⁴. Ale przecież nim nie był. Musi istnieć logiczne wytłumaczenie jego działań. Tolerował wszystkich głoszących poglądy dla niego nawet absurdalne, ale oparte na jakimś rozumowaniu, a więc komunikowalne. Tolerancyjność cesarza filozofa musiała się jednak skończyć w stosunku do tych, którzy działali na podstawie czegoś niekomunikowalnego czy niewyraźnego, a więc dla stoickiego racjonalisty – pozarozumowego.

Do kategorii rzeczy niekomunikowalnych, jak wiadomo, zaliczamy przede wszystkim doświadczenia i spostrzeżenia, których nie można odnieść do doświadczeń i spostrzeżeń znanych naszemu rozmówcy. I tak na przykład całkowitemu daltoniście, który

¹⁴ F. Ruggiero, *Szaleństwo chrześcijan*, Wydawnictwo WAM, Kraków 2007, s. 76–93.

nigdy nie widział kolorów, w żaden sposób nie wyjaśnimy, czym jest kolor zielony albo czerwony.

Inny prześladowca chrześcijan, Pliniusz Młodszy, nawet w trakcie tortur, którym poddawał chrześcijańskie diakonisy, nie usłyszał niczego, co byłby w stanie zrozumieć i pozostał z podejrzeniem, że chodzi o specyficzny rodzaj magii¹⁵. Czy więc Jezus i pierwsi chrześcijanie nauczali wybranych czegoś ukrytego, co w prosty sposób nie mogło być komunikowane? Czegoś, co wymagało jakiejś praktyki duchowej?

DROGA DO TAJEMNICY

Są przesłanki, że tak właśnie było. W rozdziale 13 Ewangelii św. Mateusza czytamy: „Przystąpili do Niego uczniowie i zapytali: «Dlaczego w przypowieściach mówisz do nich?» On im odpowiedział: «Wam dano poznać tajemnice królestwa niebieskiego, im zaś nie dano. [...] Dlatego mówię do nich w przypowieściach, że otwartymi oczami nie widzą, i otwartymi uszami nie słyszą ani nie rozumieją»” (Mt 13,10–11.13). Retoryczne pozostaje pytanie, czy także nam, współczesnym chrześcijanom dano poznać tajemnice królestwa niebieskiego, czy poznajemy zaledwie przypowieści. Pismo Święte jest interpretowane na wiele sposobów. Chrześcijaństwo nie było

¹⁵ Pliniusz Młodszy, *List XCVI*, [w:] M. Starowieyski (red.), *Pierwsi świadkowie. Pisma Ojców Apostolskich*, Wydawnictwo M, Kraków 1998, s. 361–363.

jednak początkowo religią księgi, tylko religią ustnego nauczania. Jezus nie napisał księgi, mimo że umiał pisać. Czy gdyby nauczał wyłącznie Słowa, napisanie Księgi nie powinno być czymś oczywistym i koniecznym?

W pierwszych wiekach dominował przekaz ustny Ewangelii – Dobrej Nowiny o królestwie niebieskim (a nie o życiu Jezusa), choć rozpowszechniane były wśród chrześcijan różne pisma dotyczące Jezusa i jego nauki. Oprócz tych uznanych w IV wieku za natchnione i stanowiące Nowy Testament, istniało też wiele innych, nazywanych dzisiaj apokryfami. Choćby Ewangelia Tomasza, napisana w I wieku naszej ery, najprawdopodobniej w tym samym czasie co hipotetyczne źródło Q, najstarsza zaginiona księga, na podstawie której powstały Ewangelie kanoniczne. Apokryf Tomasza, mimo że nie jest sprzeczny z Nowym Testamentem, poszerza prezentację nauki Jezusa w sposób nieakceptowany przez Kościół.

Jednym z ważniejszych przykładów wielkiej siły, a także spontanicznego i gwałtownego rozwoju chrześcijaństwa w pierwszych wiekach naszej ery jest powstanie na pustyni egipskiej najstarszej w tej religii formy życia zakonnego. Życia rozwijającego praktykę duchową pustelników, której treść przyciągnęła tysiące ludzi. Wśród nich na szczególną uwagę i namysł zasługuje Ewagriusz z Pontu¹⁶, również

¹⁶ Ewagriusz z Pontu, *Pisma ascetyczne*, t. 1 i 2, Wydawnictwo Benedyktynów Tyniec, Kraków 2005.

ze względu na znaczną liczbę zachowanych rozpraw jego autorstwa.

Mnich ten próbował opisać podstawy i wprowadzenie do praktyki duchowej, którą uważał za istotę nauki Jezusa, a której sam nauczał i w której się doskonalił. Na podstawie jego rozważań stworzono w Kościele katolickim katalog grzechów głównych. Jemu samemu natomiast nie chodziło o listę zakazów, lecz o świadomość źródeł zła. Uderzające jest niezwykle podobieństwo zaleceń religijnych Ewagriusza do wschodnich dróg rozwoju duchowego. Do reguł medytacji, wymagającej wieloletniej pracy, zmieniającej stan świadomości praktykującego i uwalniającej go od wszelkich namiętności.

Początkiem zbawienia jest dla Ewagriusza poznanie samego siebie. „Kto pragnie iść «drogą» Tego, który powiedział *Ja jestem Drogą i Życiem*, powinien uczyć się od tych, którzy wcześniej nią wędrowali...” Ewagriusz wskazuje w swych pismach na istnienie ośmiu złych, demonicznych energii atakujących świadomość człowieka i próbujących nią kierować. Złych duchów, które nas używają.

Ich imiona to: Orge (gniew), Porneia (nieczystość), Gastrimargia (obżarstwo), Hyperefania (pycha), Filargyria (chciwość), Lype (smutek), Kenodoxia (próżność, pragnienie sławy) i Acedia (zniechęcenie). Siły te to przyjemności wrogie człowiekowi, o natrętnym i uzależniającym charakterze. Pojawiając się w różnych proporcjach i z różną intensywnością

w poszczególnych ludziach, uniemożliwiają działanie prawdziwej duchowości człowieka.

Nie chodzi tu o drogę samodyscypliny opartej na siłowym odrzucaniu tych pokus i zwodniczych tęsknot – próby ich tłumienia wręcz je wzmacniają. Chodzi przede wszystkim o nabycie zdolności rozróżniania między sobą jako osobą a tymi pociągającymi myślami. Następnie o nabycie zdolności rozpoznawania strategii ich demonicnych podstępów. Celem praktyki zalecanej przez Ewagriusza jest uwolnienie się od tych demonicnych wpływów, a polega ona na specyficznej metodzie samoobserwacji. Na „otwarcie oczu do środka”. Drabina do królestwa niebieskiego ukryta jest według niego w naszej duszy. To uwolnienie i oczyszczenie wewnętrzne, osiągnięcie poziomu beznamiętności, ma otwierać przestrzeń, w której ujawni się Duch Święty. Wtedy właśnie medytacyjny stan odmienionej świadomości pozwala doświadczyć „niebieskiego królestwa”.

Jest to zgodne z tym, co Jezus mówi w Ewangelii św. Łukasza: „Zapytany zaś przez faryzeuszów, kiedy przyjdzie królestwo Boże, odpowiedział im: «Królestwo Boże nie przyjdzie dostrzegalnie; i nie powiedzą: „Oto tu jest” albo: „Oto tam jest”. Królestwo Boże bowiem jest wewnątrz was»”¹⁷ (Łk 17,20–21).

Bliskość królestwa niebieskiego to nie bliskość w sensie nadchodzącego czasu, lecz bliskość, która

¹⁷ *Biblia Gdańska uwspółcześniona*, Fundacja Wrota Nadziei, Toruń 2017.

jest dostępna dla każdego człowieka w każdym czasie. Coś może być blisko w takim sensie, że zbliża się niezależnie od naszej woli, jak na przykład burza albo świt. Coś jednak może być blisko, ale jest zależne od woli konkretnej osoby, jak chociażby zjedzenie jabłka leżącego obok. „Królestwa niebieskiego” doświadczyć można wyłącznie pojedynczo i zależy to jedynie od indywidualnej woli człowieka w dowolnym momencie życia.

Nie jest to wszakże jasna i prosta instrukcja. Raczej tylko wskazanie, jak rozpocząć własną drogę do najważniejszego doświadczenia, które może być udziałem człowieka. Drogę ratującą wolność, zabezpieczającą przed zaprzędaniem własnej duszy złu. Jednocześnie Ewagriusz w dziele *O praktyce* ostrzega: „Niektóre zagadnienia ukryliśmy, inne zaciemniiliśmy, *aby nie dawać psom tego co święte i nie rzucać pereł przed wieprze*. Będzie to jednak i tak jasne dla tych, którzy wstąpili na tę samą ścieżkę”.

Opisany sposób odzyskiwania wolności i przestrzeni duchowej, dzięki wewnętrznemu poznaniu prawdy o źródłach zła, mógł dawać tę wielką siłę pierwszym chrześcijanom. Zwłaszcza jeśli łączył się on z mistycznym, ale w jakiś sposób realnym doświadczeniem. Doświadczeniem czegoś, co według tych, którzy to przeżyli, najtrafniej było nazwać „niebieskim królestwem”.

DUSZE NIEUMYTE

Łatwo oczywiście takie sugestie podważyć, nazywając je gnostycyzmem, który jest odrzucany jako herezja. Jednakże nie każdy gnostyk może być uznawany za heretyka, skoro św. Paweł mówi: „Czyż nie wiecie, że ciało wasze jest przybytkiem Ducha Świętego, który w was jest, a którego macie od Boga...” (1 Kor 6,19). Jeśli przyjmuje się te słowa z wiarą lub przynajmniej z nadzieją, to jest czego szukać i jest wiedza do zdobycia i przeżycia. Takie poszukiwanie nie może być uznawane za heretyckie.

Po V–VI wieku utracony został ukryty przekaz, w tak tajemniczy sposób porywający i przyciągający do chrześcijaństwa wyznawców różnych religii. Do nawracania pogan: Germanów, Franków, Słowian i innych trzeba było coraz więcej środków przymusu fizycznego, politycznego i różnych forteli¹⁸. Pogaństwo ze swoimi wielowiekowymi tradycjami nie było podatne na nową religię w sytuacji, gdy przedstawiała ona dawać rzeczywistą przemianę duchową, opartą na indywidualnym przeżyciu doświadczenia metafizycznego.

Dzisiejszy Kościół katolicki nie wymaga od nas, wyznawców, myślenia ani pracy duchowej. Ogranicza się do prostego głoszenia podstawowych dogmatów

¹⁸ D.A. Sikorski, *Chryścianizacja germańskiej Germanii od VI do początku IX wieku*, [w:] J. Dobosz, J. Strzelczyk (red.), dz. cyt., s. 231–243.

wiary i przykazań, choć już bez restrykcji karno-wykonawczych, nie tylko tak drastycznych jak te Bolesława Chrobrego, ale po prostu żadnych. Osłabianie siły chrześcijaństwa pogłębia głoszona coraz szerzej w Kościele obietnica powszechnego zbawienia dla wszystkich i bez wysiłku. Każdemu po równo i za darmo. Nawet narzucenie sobie reżimu postępowania zgodnie z przykazaniami nie stanowi przecież przemiany wewnętrznej. Łatwo i właściwie bez problemu przywracać można sobie wciąż na nowo stan niewinności. Bez trwałego uwolnienia się od ograniczających, złych, demonicznych popędów wewnętrznych. Kucany katolicyzm do żadnej przemiany duchowej nas nie prowadzi.

Czy my, chrześcijanie, którzy stworzyliśmy najpotężniejszą cywilizację w historii świata, jesteśmy lepszymi ludźmi niż inni? Czy jest w nas mniej pychy, gniewu, zawiści, nieczystości, chciwości, lenistwa, nieumiarkowania? Czy nie lepiej byłoby zainicjować poszukiwanie dróg przemiany duchowej, podejmując ryzyko błędzenia, niż godzić się na te herezje, które nas opanowały?

To, co miało wnikać i przekształcać, spłynęło po nas. Ciała mamy polane, dusze nieumyte. Być polanym tysiąc lat temu to było aż nadto. Być polanym dziś za zwyczaj znaczy niewiele.

Jakiej świadomości historycznej Polaków potrzebują przeciwnicy Polski?

Najprostsza odpowiedź na to pytanie brzmi: takiej świadomości, która ułatwia realizowanie narodowych interesów narodom z nami rywalizującym. Światowa polityka to pole gier politycznych i walk o wpływy. Jedne narody i państwa radzą sobie w tych konfrontacjach i rywalizacjach lepiej, a inne gorzej. W znacznym stopniu ich efektywność zależy od świadomości zbiorowej kształtowanej w toku historii oraz od wyniku nauczania tej historii. Tak powstają modele postępowania we wszystkich sferach aktywności: gospodarczej, kulturowej, państwowej i społecznej. Nie chodzi tu tylko o samą pamięć, lecz także o ogólną świadomość, dla której wydarzenia i procesy historyczne stanowią ważne punkty odniesienia. To one formują modele zbiorowych zachowań.

Ta właśnie świadomość i wyuczone modele prowadzą albo do sukcesów, albo do klęsk. Decydują o tym, co nazywamy tożsamością narodową. Amerykański

ekonomista Paul Samuelson stwierdził, że „nadal właściwie nie wiadomo, dlaczego ubogie kraje są biedne, a zamożne bogate”. Wyjaśnienie tego problemu jest możliwe dzięki zrozumieniu, że gospodarka stanowi część kultury. Powstaje bowiem skutek historycznego, społecznego procesu konfigurowania się świadomości zbiorowej i systemu aksjologicznego każdej zbiorowości. Działalność gospodarczą – jako działalność kulturową – określają więc wartości tej kultury i wzorce przez nią tworzone¹. W kulturze formują się modele, które decydują o efektywności gospodarowania. Narody wymierają, jeśli tracą taką kulturową umiejętność instytucjonalnego organizowania swojej gospodarki. Dokonać się to może w wyniku zniewolenia.

Rywalizujące ze sobą państwa zawsze próbowały wpływać na motywacje i hierarchie wartości społeczeństw swoich przeciwników. Warto zwrócić uwagę na fakt, że niektóre społeczności, choć często inspirowane z zewnątrz, same kształtowały i kształtują swoją świadomość w sposób dla siebie niekorzystny. Dzieje się tak także we współczesnym świecie i dotyczy również Polski i Polaków. Bardzo pomocna w poszukiwaniu odpowiedzi na tytułowe pytanie może być próba zastanowienia się nad tym, jakiej świadomości historycznej naszych przeciwników potrzebujemy my – Polacy.

¹ D. North, *Zrozumieć przemiany gospodarcze*, Oficyna a Wolters Kluwer business, Warszawa 2014, s. 51–55.

Tożsamość narodowa to nie tylko poczucie przynależności geograficznej i językowej, ale też wszystko to, co składa się na kulturę materialną i kulturę duchową wspólnoty. Z jednej więc strony legendy, literatura, historia i sztuka, a z drugiej religia, moralność, obyczajowość i ich symbole. O podtrzymaniu tożsamości decyduje świadomość własnego, wyodrębnionego, narodowego interesu ekonomicznego. Nie da się ochronić interesów ekonomicznych wspólnoty, jeśli jej członkowie przestają czuć się jej częścią. Zaczynają wtedy tracić zasoby żywotne dla istnienia wspólnoty: dobra materialne, strukturę organizacyjną, dostęp do źródeł energii, rzeczywisty respekt i wpływ w świecie czy wreszcie terytorium.

Zjawisko masowego zniewalania oraz wykorzystywania innych społeczności jest bardzo mocno osadzone biologicznie i często spotykamy je w przyrodzie. Przykład mogą stanowić mrówki gatunku *Temnothorax pilagens*. Potrafią one tak zmienić „świadomość” mrówek robotnic z innych mrowisk, że te stają się ich niewolnicami. Mrówki tego gatunku porwają z atakowanych przez siebie mrowisk zarówno dorosłe robotnice, jak i larwy. Później, oddziałując zapachami, adaptują porwane osobniki do pracy w swoim mrowisku. Mrówki niewolnice zaczynają czuć się członkami tej nowej wspólnoty i wykonywać narzucone im niewolnicze funkcje jak swoją naturalną pracę. Niestety ludziom do zwierząt wcale nie jest daleko.

Do szczególnie drastycznych przykładów zmiany świadomości w świecie ludzi należy wywiezienie przez Niemców do Rzeszy dziesiątków tysięcy polskich dzieci. Stało się to podczas drugiej wojny światowej, a celem było zniemczenie młodych Polaków. Z tych tysięcy po wojnie udało się odzyskać i przywieźć z powrotem do Polski zaledwie osiemset. Zamojszczyzna to tylko jeden z obszarów (choć najbardziej znany ze względu na skalę całego przedsięwzięcia), gdzie realizowana była niemiecka *Heuaktion* – akcja rabunku dzieci, ale także ich mordowania². Przeprowadzona tam szybciej niż na innych terenach, objęła kilkanaście tysięcy dziewczynek i chłopców. Rabunek tych, u których stwierdzono „cechy nordyckie”, odbywał się w sposób rozproszony i bardzo intensywny na terenach wcielonych do Rzeszy (czyli na Śląsku, Pomorzu, Warmii i Mazurach), a w sposób mniej intensywny na terenie tzw. Generalnej Guberni, przez cały okres okupacji. Dokładnej liczby dzieci porwanych z terenu całej Polski i bezpowrotnie zniemczonych nie da się oszacować. Z pewnością wiele z nich nadal jeszcze żyje, w przeświadczeniu o swojej niemieckiej tożsamości.

Bardziej powszechnym zjawiskiem w ludzkiej historii zniewalania są jednak różne formy kolonializmu oraz ubezwłasnowolniania podporządkowanych

² A. Jaczyńska, *Sonderlaboratorium SS. Zamojszczyzna: „pierwszy obszar osiedleńczy w Generalnym Gubernatorstwie” 1942–1943*, Instytut Pamięci Narodowej, Lublin 2012.

społeczeństw i narodów. Porwania na masową skalę dzieci w sensie fizycznym już nam raczej nie grożą. Grożą natomiast polskim dzieciom ideologiczne działania indoktrynujące, które mogą mieć podobny efekt – porywając je ze świata wartości kultury łacińskiej i polskości do obcego świata szkodliwych przekonań.

Warto podkreślić, że dzisiaj przeważająca liczba zagrożeń dotyczących niekorzystnych zmian polskiej świadomości nie wynika z jakiejś agresywnej wrogości innych w stosunku do nas, lecz jest przejawem zwykłego współzawodnictwa. Być może jest to zazwyczaj tylko taka prawie sportowa rywalizacja, bez chęci całkowitego zniewolenia, ale i tak nasza świadomość ma rozstrzygające znaczenie. Czy może bowiem wygrać drużyna, której zawodnicy, wychodząc na boisko, myślą: „jesteśmy gorsi”, „nie potrafimy współpracować”, „umiemy tylko faulować”, „nasi przodkowie byli tacy sami”? Zawstydzeni i poniżeni zawodnicy nie wygrywają. Pedagogika wstydu prowadzi do utraty zdolności odnajdywania, rozumienia i rozwijania tego, co w naszej kulturze jest uniwersalne. Tak więc nasi przeciwnicy potrzebują przede wszystkim, abyśmy nie odczuwali dumy z własnej historii, lecz mieli silną świadomość win naszych przodków i poczucie odpowiedzialności za te winy. Całkowicie pozbawić nas wszystkich pamięci i świadomości historycznej nie można. Choć odsetek ludzi mieszkających w Polsce i będących Polakami tylko

w znaczeniu geograficznym, „tutejszych”, jest z pewnością znaczny. Za przykład może posłużyć pewien malarz, który w wywiadzie dla jednego z tygodników stwierdził niedawno, że woli słowo „kraj” niż „naród” czy „Polska”, bo „kraj to kraina, pojęcie przyrodniczo-geograficzne”, z którym się identyfikuje...

Możliwe jest wszakże kreowanie i podtrzymywanie naszego kompleksu niższości. Przekonania, że jesteśmy gorsi. Umacnianie braku świadomości tego, co jest naszym polskim interesem narodowym. Utrudnianie zrozumienia, że taki istnieje i że każdy naród ma prawo zabiegać o jego realizację. Ostatecznym celem rywalizacji między państwami jest co najmniej uzyskanie dominacji imperialno-kolonialnej. Polska w swojej historii również wielokrotnie podobne działania podejmowała i czasem osiągała w takiej realizacji interesu narodowego sukcesy. Dla Jagiellonów interesem narodowym było podporządkowanie sobie Litwy i Białorusi.

Dzisiaj ten interes jest postrzegany inaczej. Choć początkowo traktowano go w kategoriach imperialnych, nie jest to bynajmniej żaden powód do wstydu, bo było to rozumienie zgodne z zasadami obowiązującymi w świecie. Dzisiaj to my jesteśmy przedmiotem dominacji imperialno-kolonialnej, zawstydzania i samozawstydzania. Kolonializm, choć często przybiera nowe formy, wciąż istnieje we współczesnym świecie. Poczucie niższości sprawia, że szuka się opinii na swój temat i potwierdzenia dla swoich

działań u zagranicznych autorytetów. Teksty w prasie zachodniej stają się wyrocznią dla polskich dziennikarzy i polityków. Istnieje zgubne przekonanie, że ważniejsze jest to, co napisze się o nas w Berlinie, Nowym Jorku, Brukseli czy Moskwie, niż to, co jest podstawowym interesem ludzi mieszkających w Krakowie czy Lipnicy Murowanej. Jak napisał w książce *Fantomowe ciało króla* Jan Sowa:

Dominacja imperialno-kolonialna oznacza narzucanie nie tylko reguł handlu, ale również sposobów autopercepcji. Mogą być one przez skolonizowanych rozpoznawane jako fałszywe, mimo to odgrywają istotną rolę w konstruowaniu przez podporządkowanych wyobrażenia o samych sobie. Prowadzi to do powstania szeregu kompleksów, resentymentów oraz – co może najważniejsze – fatalnej niezdolności do autonomicznego wydawania sądów i tworzenia wartości, czyli do normatywnego formowania rzeczywistości społecznej. Podporządkowany zawsze czeka, aż jego władca powie mu, kto i co – nawet w jego własnym kraju – jest wartościowe i godne szacunku³.

Dla Polaków jedynym punktem odniesienia powinien być nasz interes ekonomiczny i tożsamościowy, a nie opinie ludzi, którzy pilnują interesów swoich narodów. Poczucie bycia gorszym i brak wiary

³ J. Sowa, *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą*, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas”, Kraków 2011, s. 434–435.

we własne siły to cechy świadomości korzystne dla naszych przeciwników. Kolejną taką cechą jest przekonanie, że państwo polskie jest dla obywateli, że wyłącznie ono ma wobec nich obowiązki, a oni nie mają żadnych wobec ojczyzny. Polska dla Polaków, ale nie Polacy dla Polski. Tak jak pewna piosenkarka, która powiedziała, że gdyby wybuchła wojna, „wsiadłaby na jakiś statek i uciekła, żeby żyć”. Według tego założenia Polacy powinni działać wyłącznie dla siebie i swoich rodzin, uczestniczyć w akcjach poprawnych politycznie – walczyć ze zmianami klimatycznymi, wspierać Unię Europejską czy politykę amerykańską. Wolno im robić to, co wolno. Mają działać, nie analizując wciąż na nowo, jaki jest polski interes, i zapominając, że jesteśmy jednym z największych narodów Europy. Narodem o niezwyklej historii tworzonej przez zwykłych i niezwykłych ludzi. Według diagnozy Juliena Bandy do końca XIX wieku pisarze, naukowcy, artyści i inni przedstawiciele inteligencji raczej nie angażowali się w działalność polityczną. Skupiali się na tym, co w ich dziedzinach było najbardziej wartościowe, kierując się rozumem i działając zgodnie ze swoim pojmowaniem takich wartości jak prawda, sztuka, moralność czy sprawiedliwość. Wiek XX przyniósł na tym polu zmianę nazwaną zdradą klerków, polegającą na masowym uleganiu przedstawicieli inteligencji emocjom politycznym i podporządkowywaniu tym emocjom rozumienia klasycznych wartości. Jarosław Zadencki

w książce *Ragnarök. W obliczu anarcho-tyranii i chaosu ludów* stwierdził:

W XX wieku intelektualiści byli komunistami i nazistami, socjalistami z ludzką i nieludzką twarzą, faszystami z powybijanymi zębami i ich pełnym garniturem, demokratami i monarchistami, syndykalistami i anarchistami, liberałami i konserwatystami, rewolucjonistami i tradycjonalistami, nacjonalistami i internacjonalistami, ateistami i religiantami. I, oczywiście każdy z nich głosił to, co było zgodne z jego głębokimi przemyśleniami i z jego głębszym poczuciem obowiązku poszukiwania i przekazywania prawdy⁴.

Najbardziej zagrożone operacjami na świadomości są osoby należące do inteligencji: naukowcy, nauczyciele, literaci, lekarze, a także aktorzy, piosenkarze, malarze i inni artyści. Cała ta klasa tworzy zbiorową tożsamość społeczną i narodową. Jest to grupa niezwykle istotna społecznie i szczególnie „chłonna” intelektualnie, a więc najbardziej podatna na nowe idee, ale i na manipulacje.

Największym niebezpieczeństwem dla współczesnego świata, w tym dla polskiej świadomości zbiorowej, jest „porywanie” elity intelektualnej nowinkami światopoglądowymi i politycznymi namiętnościami. Elita myli wtedy mody ideowe z rzeczywistym

⁴ J. Zadencki, *Ragnarök. W obliczu anarcho-tyranii i chaosu ludów*, Agencja Wydawniczo-Reklamowa ARTE, Warszawa 2019, s. 145.

interesem wspólnoty, do której należy. Często z histerią i przekonaniem propaguje zbrodnicze lub tylko zgubne ideologie. Rezygnacja z rozsądku na rzecz emocji, porzucenie rozumu na rzecz nowoczesnych wierzeń, to wciąż na nowo odtwarzana zdrada. Jednocześnie jest to postawa łatwo poddająca się sterowaniu i manipulacji. Emocjonalne porwanie polskiej elity przez idee sprzeczne z naszym interesem narodowym stanowi dla nas największe zagrożenie. Takie porwanie sprzyja bowiem przekształcaniu się polskiej świadomości zbiorowej w świadomość korzystną dla naszych przeciwników. Stadami inteligentnymi rządzi – niestety – te same prawa, co innymi stadami.

Nie ma wszakże narodu bez elity intelektualnej. Spory ideowe muszą się toczyć. Muszą być kontrowersje i muszą występować różnice zdań. W dyskusji – lub raczej w dwóch monologach trwających dzisiaj w Polsce – obie te narracje są dla Polski i naszej świadomości narracjami niekorzystnymi. Pierwsza z nich pokazuje historię Polski jako ciąg wstydliwych wydarzeń i „krwawych plam”. Uderza w wartości konstytutywne dla naszej wspólnoty, w rodzinę, religię i symbole narodowe, widząc w nich przyczynę tych krytykowanych zjawisk. Jest antymartyrologiczna, próbuje zmusić nas do ciągłego bicia się w piersi za „zawinione” i „niezawinione” winy. Jest rodzajem pedagogiki wstydu i uderza w zbiorowe, narodowe poczucie własnej wartości.

Szewach Weiss w prywatnej rozmowie dotyczącej relacji polsko-żydowskich udzielił mi kiedyś ważnej nauki. Wskazałem mu wtedy między innymi na przypadki udziału Żydów – funkcjonariuszy UB i innych formacji komunistycznych w mordowaniu polskich patriotów przeciwstawiających się okupacji sowieckiej. Szewach Weiss, odpowiadając na pytanie o swój stosunek do tych wydarzeń, odpowiedział: „Ci ludzie, robiąc takie rzeczy, przestali być Żydami, wykluczyli się z naszego narodu”. Te niezwykle mądre słowa niech będą i dla nas wskazówką, jak powinniśmy reagować na atakowanie naszej historii. Wszystko to, co zarzuca się Polakom w ramach pedagogiki wstydu, jest sprzeczne z systemem wartości naszego narodu. Jeśli ktoś dopuścił się czynów bandyckich, to nie może być traktowany jako Polak. Nie realizował bowiem tego, co jest elementem aksjologii polskiej. Mówiąc dosadnie, Polak może zabijać jako żołnierz na wojnie, ale nie może zabijać z powodów religijnych, ekonomicznych czy narodowościowych. Tak jak nie ma powodu, abyśmy przepraszaali za zbrodnie seryjnego mordercy Karola Kota, tak też nie ma powodu, abyśmy przepraszaali za bandytów, którzy zamordowali ojca Henryka Grynberga. Choć płaczemy nad tymi wszystkimi zamordowanymi. Ktoś kto się dopuszcza takich czynów, wyklucza się z naszej wspólnoty polskich wartości. Wartości, które czasem próbuje się także wykorzystywać przeciwko nam. Przykładem może być pojęcie tolerancji,

która jest wartością bardzo ważną dla Polaków, a którą próbuje się wykorzystać, wymagając, abyśmy interesy różnych mniejszości traktowali jako ważniejsze niż interes naszego narodu.

Druga narracja, częściowo będąca odpowiedzią na pierwszą, naiwnie idealizuje polską historię, tworząc obraz heroiczno-martyrologiczny. Pokazuje Polskę jako ofiarę knowań innych, a Polaków jako ginących wyłącznie z powodów moralnych. Jest podszyta lękiem i obawami przed światem i utrudnia budowanie naszej pozycji w Europie. Sposób, w jaki jest dzisiaj formułowana, decyduje o jej bardzo ograniczonej przydatności. Może stanowić dla naszej świadomości zagrożenie, jeśli napełni nas przyjemną, oszałamiającą fikcją, która uniemożliwia prawidłową i pełną ocenę otaczającej nas rzeczywistości politycznej.

Każde poważne państwo postępuje moralnie tylko wtedy, gdy ma w tym konkretny interes. Jeśli zamydli się Polakom oczy moralnością czy przyjaźnią w polityce, to można ich sprowokować do tego, aby postępowali niezgodnie ze swoim interesem narodowym. Warto tu przypomnieć uroczą, choć trochę dwuznaczną wypowiedź ambasador USA w Polsce Georgette Mosbacher w związku z jej obserwacjami, jak uprawia się politykę w Polsce: „My w Waszyngtonie mamy stare powiedzenie: jeżeli chcesz mieć przyjaciela, kup sobie psa”.

Ani jedna, ani druga z narracji nie przekonuje większości Polaków. Nie mówią one o tym, kim jesteśmy

naprawdę, a co nam się tylko wmawia albo co sami sobie wmawiamy. Obie jednak są potrzebne, bez nich dyskusja – do której jest zobowiązana polska inteligencja – na temat naszej tożsamości narodowej byłaby niepełna. Żadna z nich nie powinna jednak dominować tak, jak to się dzieje dzisiaj w różnych środowiskach ideowych, bo każda z nich w czystej postaci tworzy świadomość historyczną korzystną dla naszych przeciwników. Model kultury szlacheckiej wciąż funkcjonuje w Polsce po obu stronach współczesnej barykady. Wystarczy wsłuchać się w hasła polityczne, a okaże się, że i jedni, i drudzy powtarzają za Zygmuntem Krasińskim: „My jedni stanowimy Polskę”. Ponadto jedni i drudzy chcą swoich przeciwników „skolonizować”, tak jak polska szlachta kolonizowała kiedyś chłopów i tak zwane kresy. Taka postawa prowadzi do głębokiego pęknięcia społecznego, osłabiającego nasze możliwości rywalizacji w świecie. Wiodąca powinna być więc narracja ukazująca historię Polski jako historię interesu narodowego. Tylko to kryterium – analizowany na zimno rzeczywisty interes narodowy – powinno być najważniejszym punktem odniesienia. Interes narodowy rozumiany jako maksymalizacja możliwości, bogactwa i siły naszej wspólnoty obywatelskiej, a także obrona posiadanych wartości, obrona przed zniewoleniem. Ma on dwa aspekty aksjologiczne: tożsamościowo-moralny i pragmatyczny. Zawiera szereg różnych interesów częściowych dotyczących wszystkich

dziedzin życia społecznego i państwowego. Jego sens należy definiować poprzez analizę możliwych zysków i strat, jakie wiążą się z ochroną elementarnych wartości. Oczywiście z uwzględnieniem ograniczeń, jakie wynikają z norm prawnych i obyczajów w relacjach międzynarodowych. Myśląc o polskim interesie narodowym, trzeba jednocześnie ciągle pamiętać, że to chrześcijanie stworzyli najpotężniejszą cywilizację świata. W żadnej innej wolność i walka ze zniewoleniem nie mają tak fundamentalnego znaczenia. Przewycięzeniem dylematu dwóch narracji: historia win i uchybień czy historia heroiczno-martyrologiczna – jest historia aksjologiczno-pragmatyczna.

List otwarty do Malanowskiego i Partnerów

W 1979 roku Mirosław Dzielski opublikował poza cenzurą szkic zatytułowany Jak zachować władzę w PRL. Życzenia noworoczne dla por. Jerzego Borewicza¹. Manifest ten, adresowany do pragmatycznego i cynicznego milicjanta, bohatera serialu 07 zgłoś się granego przez Bronisława Cieślaka, stanowił zaskakującą propozycję dla realistycznie myślącej części władz. Dzielski proponował w nim nomenklaturze dokonanie – bagatela – zmiany ustroju i przejęcie rzeczywistej własności przedsiębiorstw państwowych. List wśród wielu opozycjonistów wywołał oburzenie, później został prawie zapomniany.

Dzisiaj Bronisław Cieślak występuje w serialu Malanowski i Partnerzy jako właściciel agencji detektywistycznej. Tę nową rolę można odczytywać również w sposób symboliczny. Stąd pomysł na nawiązanie do korespondencji z końca lat siedemdziesiątych XX wieku.

Szanowny Panie Poruczniku!

Proszę wybaczyć ten wykrzyknik, mam oczywiście świadomość, że nie przedstawia się Pan już stopniem oficerskim, a w wyniku zawirowań historycznych

¹ M. Dzielski, *Odrodzenie ducha – budowa wolności. Pisma zebrane*, Krakowskie Towarzystwo Przemysłowe, Znak, Kraków 1995, s. 171–180.

wolał Pan też zmienić nazwisko na obecne. Zważywszy na Pański pragmatyzm, wydaje się to całkowicie naturalne. Nowe czasy, nowy życiorys, nowa kariera... Przez wzgląd na przeszłość pozwolę sobie jednak tytułować Pana po staremu, choć dzisiejszy stopień jest na pewno wyższy.

Przede wszystkim – gratulacje! Przyjemnie popatrzyć: minęło dwadzieścia pięć lat, ale najwidoczniej dobrze przez Pana wykorzystanych. Zamiast wytartej kurtki M65 – marynarka od Ermenegilda Zegny, wysłużonego poloneza zastąpił Pan eleganckim chryslerem... Można by pomyśleć, że jest dobrze. Również Pańscy Partnerzy zdają się żywym potwierdzeniem słusznej propozycji, złożonej ongi przez Mirosława Dzielskiego w wydanym w podziemiu *Jak zachować władzę w PRL. Życzenia noworoczne dla por. Jerzego Borewicza*: kluczowe segmenty gospodarki dla Was w zamian za dopuszczenie mas do możliwości bogacenia się, podróżowania, swobody wypowiedzi etc.

Propozycja ta została rozważona przez Pańskich Partnerów, a po uzyskaniu ich akceptacji jej fundamentalne założenia wcieliliście w życie. Wystarczy sięgnąć do pamiętnego listu i przytoczyć główne akapity, aby dowieść, że nieco już dziś zapomniany Dzielski, filozof związany z opozycją antykomunistyczną, jest de facto ideowym autorem otaczających nas obecnie realiów. Jest sprawą oczywistą, że słowa uznania dla wykonawców tych teoretycznych założeń należą się Panu i Partnerom (napiszę o tym

szerzej w dalszej części mego listu). Już teraz składam najserdeczniejsze gratulacje, aczkolwiek z pewną troską zarazem.

Jakie bowiem na podstawie myśli Dzielskiego wysnułście wnioski? Trafne: kontrola za pomocą pałek i bagnetów stała się niesmacznym przeżytkiem. System w latach osiemdziesiątych był ekonomicznie niewydolny. Poziom życia w porównaniu ze standardami społeczeństw zachodnich bardzo niski. Za niski również w stosunku do Waszych osobistych aspiracji. Sytuacja społeczna groziła kolejnymi konfliktami i strajkami. Po co wyprowadzać wojska czy wprowadzać państwo policyjne, skoro rzeczywistość można kontrolować pokojowo za pośrednictwem kapitału, tym razem pisanego małą literą?

W szczególności mówię tu o narzędziach kapitałowych, zwanych powszechnie związkami spółek, holdingami, koncernami czy grupami operacyjnymi. O dużych firmach, kontrolujących (poprzez np. pakiety akcji) spółki córki. Pierwsze poważne grupy kapitałowe powstały na świecie stosunkowo późno, pod koniec XIX wieku, ale w rozumieniu współczesnym dopiero w drugiej połowie wieku XX. Nawiasem mówiąc, pojawiła się wtedy również możliwość obserwowania wpływu tych grup na świat polityki.

Pozwoliłem sobie poczynić tę uwagę, ale jestem przekonany, że Pan i Partnerzy poświęciliście wiele czasu na wnikliwą analizę owych mechanizmów – z perspektywy, rzecz jasna, zagranicznej. Tym przecież

zajmowały się Wasze służby, zwłaszcza wywiad gospodarczy, choć wiedzę o normalnych, kapitalistycznych finansach czerpaliście również z rodzimego podwórka. W systemie socjalistycznym, mimo założeń gospodarki centralnie sterowanej, istniały wszak rozmaite zrzeszenia i spółdzielnie, będące namiastkami firm i korporacji. Pańscy Partnerzy mieli więc i czas, i możliwość zarządzania takimi grupami (w warunkach ciepłarnianych oczywiście). Zakładam, że tworzenie adekwatnych mechanizmów finansowych zajęło Wam stosunkowo niewiele czasu, dzięki czemu po Okrągłym Stole zabraliście się do działań konkretnych, przynoszących namacalne zyski.

Z analizy największych 36 grup kapitałowych, tylko tych notowanych na Giełdzie Papierów Wartościowych w 2006 roku, wynika, że większość z nich funkcjonowała przed Okrągłym Stołem jako przedsiębiorstwa państwowe. Po 1989 roku, w wyniku najróżniejszych operacji, przekształcały się one w rzeczone grupy kapitałowe². Zestawienia GUS za 2009 rok pokazują ponadto, jak potężną siłę gospodarczą mają te przedsiębiorstwa – w tymże roku zatrudniały one blisko 30 procent pracowników w Polsce i uzyskały ponad 50 procent dochodu wypracowanego łącznie przez wszystkie polskie firmy. Potęga! Prawdziwa władza! Oczywiście tego, z iloma z tych grup związani są Pańscy Partnerzy, nie można podać publicznie,

² M. Romanowska (red.), *Grupy kapitałowe w Polsce*, Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, Warszawa 2011, s. 33.

nie narażając się na przykre konsekwencje. Przecież wszystko jest zgodne z prawem.

Tu znów napomknę, że architekci okresu przemian nie dysponowali kapitałem finansowym, tylko intelektualnym. Stworzenie struktur władzy opartych na strukturach gospodarczych i kapitale było istnym majstersztykiem w wykonaniu ludzi posiadających wiedzę, odpowiednie informacje, częstokroć umiejętności menadżerskie oraz wysoką inteligencję połączoną z wizjonerstwem. Stąpających wszakże twar-do po ziemi i pozbawionych skrupułów moralnych.

Uwłaszczenie dóbr państwowych pozwoliło Wam nie tylko wylądować miękko i w olbrzymim bogactwie po niepokojach społecznych końca PRL, ale też zachować, za pomocą narzędzi podpatrzonych na Zachodzie, rzeczywisty wpływ na opinię publiczną oraz skład elity politycznej. Słusznie bowiem zakładaliście, że nie wszystkie media muszą być Waszą własnością. Zgrabny system zarządzania zleceniami reklam daje pełne panowanie nad większością z nich.

Tu pozwoli Pan na kolejne spostrzeżenie. Dopuszczenie do demokratyzacji – czego Dzielski w swojej koncepcji nie zakładał – w żaden sposób nie zagroziło Waszym interesom. Ten śmiały, a świadczący o daleko posuniętej niezależności intelektualnej projekt, jakim były przemiany z końca lat osiemdziesiątych, sprawił, że rzeczywiście utrzymaliście władzę w Polsce. Prawdziwą władzę dają wszakże, jakkolwiek banalnie to zabrzmie, pieniądze, forma sprawowania

rządów zaś nijak tej władzy nie ogranicza. Mówiąc inaczej: prawdziwej władzy żadna demokracja ani nie szkodzi, ani nie grozi. Premierzy się zmieniają, bo w demokracji władza publiczna musi się zmieniać, a władza prawdziwa pozostaje ciągle w jednych rękach. Śmiały projekt i skuteczna realizacja zasługują na szczerzy podziw.

Mistrzowskim posunięciem było przekonanie Polaków, że dzisiejsi Pańscy Partnerzy, a wtedy najwyżsi funkcjonariusze partyjni, milicyjni i wojskowi, dysponujący wszystkimi mediami, wojskiem, milicją, służbami specjalnymi i stu tysiącami tajnych współpracowników, mając w rękach banki i przedsiębiorstwa – oddali całą władzę za darmo. Ryzykując przy tym własnym życiem i, co najważniejsze, ustępując tylko przed słusnością moralną. Jak to się stało, że wszyscy w to uwierzyli?

Dysponowaliście drugą co do wielkości armią w Układzie Warszawskim liczącą 350 tysięcy żołnierzy, wyposażoną w sprzęt, który wciąż jeszcze stanowi istotny i wciąż nowoczesny element uzbrojenia obecnej polskiej armii. Czołgi wcale Wam nie zardzewiały. Samoloty MiG-29 są dzisiaj, tak jak w latach osiemdziesiątych XX wieku, ważną częścią polskich wojsk lotniczych. Zresztą tak samo jak i rosyjskich wojsk lotniczych. System rakietowy S-125 Nawa był jednym z najnowocześniejszych na świecie w 1989 roku, i dzisiaj, po zamianie sterowania analogowego na cyfrowe, w dalszym ciągu jest bardzo

nowoczesnym systemem. Przykłady, jak Pan wie doskonale, można mnożyć.

Ponadto, co może najważniejsze, chronił Was system prawny, w którym wszystko, co zagrażało Waszej władzy, stawało się przestępstwem. Oczekiwać, że ktoś sprawujący władzę prawie absolutną odda ją za nic, pod wpływem presji moralnej, jest równe żądaniu popełnienia samobójstwa. Taka utrata kontroli dodatkowo oznaczałaby poważne ryzyko odwetu ze strony niektórych rewolucyjnie nastawionych opozycjonistów. Musielibyście, Pan i Pańscy Partnerzy, popaść w jakiś zbiorowy obłąd, aby się na to zgodzić. Nie popadliście. Włos Wam z głowy nie spadł i nie spadnie. Pamiętajmy, co powiedział Władysław Gomułka: „Władzy raz zdobytej, nie oddamy nigdy”. I Józef Cyrankiewicz: „Ten, kto odważy się podnieść rękę na władzę ludową, niech będzie pewny, że mu tę rękę władza ludowa odrąbie...”.

Taki model przemian ustrojowych – pod wpływem wyższości moralnej – byłby oczywiście piękny i szlachetny, jednak zgodzimy się obaj, że z polityką realną nie ma on zbyt wiele wspólnego. I nie ma nic wspólnego z tym, co się faktycznie stało w roku 1989. Trudno byłoby uwierzyć, że to złudzenie utrzymało się w polskim społeczeństwie bez udziału Partnerów Pana Porucznika. Można się, rzecz jasna, zastanawiać, kto konkretnie był głównym strategiem po Waszej stronie. Zostawmy to jednak pamiętnikarzom i historykom; wyrazy szacunku należą się wszystkim

tym, którzy podeszli do problemu z pewnego rodzaju roztropnością, rzekłbym – dojrzałe, bez zacierzenia czy niepotrzebnych ideowych fantazmatów.

Czy Panowie czytali Józefa Szujskiego? Można bowiem odnieść wrażenie, że zastosowaliście w praktyce jego diagnozę: „Falszywa historia jest mistrzynią fałszywej polityki”³. Wszystkie partie w Polsce uprawiają fałszywą politykę, bo budują ją na fałszywej historii tego, co stało się w roku 1989.

Uświadomienie sobie tego, jak było faktycznie, może oburzyć wiele osób. Zupełnie jednak niesłusznie. Jaka bowiem była alternatywa? Przecież władzy byście nie oddali, a my żylibyśmy dalej w tej komunistycznej nędzy. Z tego właśnie powodu o urzeczywistnieniu – za sprawą Pana i Partnerów – owego śmiałego projektu wyrażam się z takim szacunkiem i podziwem. Korzyści dla naszego narodu i państwa są nie do podważenia. Wy macie władzę, my mamy wolność. Co z nią zrobimy, zależy tylko od nas. Nie jest i nie będzie nam tak łatwo jak Wam, ale możemy właściwie wszystko, jeśli zechcemy. Żeby nam się tylko chciało chcieć.

Przekonałiście do tej fikcji również część swoich towarzyszy i kolegów z aparatu partyjnego, milicyjnego i wojskowego. Nie chcieliście dzielić się kapitałem i władzą ze wszystkimi. I oni, gdy w końcu zrozumieją, co się stało, mogą mieć Wam to za złe.

³ J. Szujski, *O fałszywej historii jako mistrzyni fałszywej polityki*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1991.

Rzecz jasna cały projekt przemiany obejmował nie tylko Polskę i musiał zostać zaakceptowany przez Waszych Sowieckich Towarzyszy. Jaki mają oni wpływ na Was dzisiaj, tego nawet nie próbuję opisywać, ale jestem przekonany, że ich sposób myślenia również uległ radykalnej zmianie. Nie działają z poczuciem misji wprowadzenia komunizmu na całym świecie. Wystarczają im pieniądze i wzmacnianie własnego państwa. Wy o tym drugim zapominacie.

Panie Poruczniku, list ten jest listem otwartym, ale proszę się nie niepokoić jego konsekwencjami. Punkt widzenia, który jest w nim prezentowany, nigdy nie stanie się powszechny. Nawet ci, którzy dopuszczają na chwilę taki obraz do swojej świadomości, bardzo szybko wyprą go z niej jako całkowicie sprzeczny z ukształtowanym wcześniej – i powiedzmy sobie szczerze, bardzo wygodnym dla wszystkich – poglądem na współczesną historię Polski. Któż z opozycjonistów zadowolony jest tym, że jego działanie w tamtych latach było tylko manifestacją moralno-ideową, a nie miało żadnej siły sprawczej? Jerzy Buzek w 2004 roku powiedział, że najważniejsze rozstrzygnięcia zapadają poza Sejmem i rządem oraz że polityka, jak ją widzą wyborcy, jest niczym chiński teatr cieni. I co? I nic, choć wydawałoby się, że powiedział coś absolutnie wstrząsającego.

Na pewno rozbawiła Pana (jak i wielu innych rozsądnych ludzi) lansowana przez niektóre środowiska teza o Układzie. Opowiada się o nim jak

o jakimś tajnym stowarzyszeniu kapturowym, sekretnym sprzysiężeniu czy spisku. A tu przecież nie ma żadnego tajnego układu – wszystko jest jawne i legalne! Aż chciałoby się zawołać: „Otwórzcie szerzej oczy! Wszystko widać!”. I wszystko jest do sprawdzenia, wszelkie mechanizmy i struktury. No, prawie wszystko.

Oczywiście – panowie oficerowie się znają. Wspólne wódeczki, polowania – chociażby wspomnienia z młodości, ze wspólnej służby, manewrów, narad i konferencji. W tym sensie możemy mówić o układzie. Ale któż z nas nie ma znajomych? Tak czy inaczej, nie ma w tym nic tajnego. Rynki finansowe rządzą. Wszystko wiadomo, tylko że z tej wiedzy nic nie może wyniknąć, bo wszystko jest już zgodne z prawem.

Owszem. Są takie „Agencje Ochrony Mienia” – dziedzictwo chłopców-misztalowców⁴ tak łatwo nie przeminie – których pracownicy mają kompetencje równe kompetencjom najlepszych służb specjalnych na świecie. I których można w każdej chwili użyć, ale robicie to już coraz rzadziej. Podejrzewam, że wśród Pańskich Partnerów są tacy, którzy mogą zacytować Talleyranda, że zbrodnią posługują się tylko polityczni durnie. Te polityczne zbrodnie jednak były i to uniemożliwia mi myślenie o całej operacji wyłącznie z szacunkiem.

⁴ misztalowcy – potoczna nazwa na określenie członków założonej przez Edwarda Misztala w 1976 r. specjalnej grupy milicyjnej znanej pod nazwą Wydziału Zabezpieczenia.

Oczywiście było też wiele błędów. Pan i Pańscy Partnerzy przejęliście za mało polskich firm, a za dużo ich sprzedaliście zachodniemu kapitałowi, dostając za to dla siebie często kwoty, które dzisiaj nazwać można – zgódźmy się – co najwyżej napiwkami. Pewnie nie mogło być inaczej, bo nie wszyscy z Was byli na poziomie intelektualnym Waszych Głównych Inżynierów przemiany ustrojowej. Skolonizowanie Polski przez koncerny zachodnie ostatecznie ma również swoje dobre strony. Amerykanie nie będą umierali za Gdańsk, ale za amerykańską fabrykę pampersów pod Gdańskiem – bardzo możliwe. Czy jednak to „bardzo możliwe” było tyle warte?

Muszę też stwierdzić, że stosowanie przez Was do przejmowania przedsiębiorstw takich mechanizmów finansowych, jak na przykład leasing, przy arbitralnym ustaleniu wysokości rat miesięcznych niższych niż miesięczny zysk przejmowanej firmy, było złodziejstwem wyjątkowo bezczelnym, ale koniec końców trzeba przyznać, że żadna przemiana historyczna nie odbywa się bezkosztowo.

Drogi Poruczniku! Ludzie, którzy ćwierć wieku temu widzieli zagrożenia (ale i szanse), muszą także dzisiaj się z nimi zmierzyć. Nie zdziwi mnie, jeśli wyzna Pan, że Pańscy Partnerzy są cokolwiek rozczarowani regułami, jakie narzuciła sytuacja rynkowa. Zbyt wielka liczba polskich firm w obcych rękach generuje stały i nadmierny wyciek kapitału z Polski, czego konsekwencje są coraz bardziej zauważalne.

Ponadto okazało się, że pieniądze mają pochodzenie, że coś takiego jak „kapitał międzynarodowy” czy „kapitał bez narodowości” właściwie nie istnieje. Że nad każdym dużym koncernem wchodzącym na miejscowy rynek rozpościerany jest stosowny parasol ochronny w postaci nacisków politycznych.

Budzi to – mam nadzieję, że Pan Porucznik zgodzi się ze mną – skojarzenia z kolonializmem. I mnożą się zapewne sytuacje, w których ktoś chce Wam wcisnąć koraliki, a one się już Wam nie podobają. Kupiec robiący interesy w jakimś Bantustanie ma wsparcie swego kraju, od dyskretnych nacisków na miejscowych kacyków po bardzo konkretne konstrukcje podatkowe, pozwalające na niewykazywanie zysków w kraju dzikich, a opłacanie obniżonego podatku w kraju ojczystym. To postkolonialne myślenie udziela się zresztą i namiestnikom kolonii, którzy bezwiednie – bądź za garść paciorków – realizują politykę metropolii. Sami zresztą często nie zdają sobie sprawy z rozmachu tejże polityki.

Nie ma co płakać, że ambasadorowie innych państw występują w obronie interesów swoich przedsiębiorców, a polscy nie. Trzeba sprawić, aby polscy też występowali, a zagraniczni nie byli zbyt bezczelni. Kiedyś premier jednego z krajów Unii Europejskiej interweniował u polskiego premiera w sprawie swoich rodaków – przedsiębiorców zatrzymanych przez polską policję w związku z pijacką burdą, którą wywołali w Polsce...

Bardziej niż Instytutu Pamięci Narodowej potrzebujemy dzisiaj Instytutu Gospodarki Narodowej. Organizacji monitorującej interesy gospodarcze państwa polskiego i działającej na rzecz ich rozwoju. Pilnej analizy wymagają możliwości wykorzystania pozostałego potencjału naszego kraju. Skandalem jest na przykład brak produkcji benzyny z węgla⁵. Produkcję taką prowadzi na dużą skalę wiele krajów – w RPA tylko dwa zakłady koncernu Sasol wytwarzają 5 milionów ton rocznie. Instalacje do produkcji benzyny syntetycznej posiadają również, między innymi, koncerny Shell, ExxonMobil i Statoil⁶. Już w 1943 roku w zakładach w Płocku Niemcy wyprodukowali jej ponad 2 miliony ton. My potrzebujemy 20 milionów ton rocznie. Panie Poruczniku, jesteście Panowie przecież w stanie sprawdzić, od kogo biorą pieniądze ci, którzy rozpowszechniają nieprawdziwe opinie, że to się nie opłaca, i zakręcić im ten kurek. Trzeba się w końcu wybić na niepodległość, Panie Poruczniku. I uruchomić taką produkcję. I na niej zarobić.

Nasze członkostwo w Unii Europejskiej powinno być także wykorzystywane do wzmocnienia państwa polskiego. Proces rozkradania potencjału gospodarczego naszego narodu i państwa musi zostać ostatecznie zatrzymany, przede wszystkim w interesie

⁵ J. Balcewicz, *Węgiel surowcem do produkcji syntetycznych benzyn, metanolu, wodoru...*, „Energia-Gigawat”, grudzień 2005.

⁶ K. Dreszer, L. Więclaw-Solny, *Produkcja paliw silnikowych z węgla poprzez zgazowanie i syntezę Fischera-Tropscha*, „Polityka Energetyczna” 2007, t. 10.

Pańskich Partnerów – a to akurat jest interes tożsamy z interesem Polaków.

Oslabianie i utrzymywanie niemocy państwa polskiego ze strachu, żeby się do Was nie dobrało – co robicie już chyba tylko z przyzwyczajenia – nie ma sensu, bo już jesteście bezpieczni! Teraz to osłabianie Wam szkodzi, co powinniście sobie zacząć uświadamiać. Wasze dzieci, wnuki i prawnuki już są bogate i będą bogate zarówno jutro, jak i pojutrze. Ale w świecie są osobami drugiej kategorii, bo pochodzą ze zmarginalizowanego państwa. Możecie to zmienić. Możecie sprawić, że będą z dumą manifestować swoje pochodzenie, a ono zapewni im jeszcze większą skuteczność działania. A Wy możecie doczekać się kiedyś publicznego uznania za realizację tak doniosłego historycznie projektu.

Odnoszę wrażenie, Drogi Poruczniku, że po ponad ćwierćwieczu znów warto się zastanowić, co nas łączy. Stwierdzić trzeba, że interesy Pana wysoko postawionych protektorów są zbieżne z interesami narodu polskiego; że wzmacnianie państwa polskiego, które będzie zdecydowanie chroniło interesy obywateli polskich, w tym także przedsiębiorców, jest również, a może głównie, w Waszym interesie. Że hasła „silnej Polski” powinny być głoszone właśnie przez Was, przez Pana i Pańskich Partnerów.

Według trochę żartobliwej, ale celnej opinii, którą niedawno sformułował profesor Piotr Bartula, Mirosław Dzielski, pisząc w 1980 roku swoje życzenia dla

Pana Porucznika, odkrył, że Wy, komunistyczna nomenklatura, jesteście ludźmi. Najwyższy czas, abyście Pan i Pana Partnerzy odkryli całkiem na poważnie nie tylko to, że jesteście Polakami, ale także to, co z tego wynika.

Łaskawie proszę o przekazanie swoim Partnerom, wraz z tezami zawartymi w tym liście – mimo wszystko – wyrazów uszanowania.

Krzysztof Budziakowski

Ludzie małopokształtni

Na obrazie Eugeniusza Muchy *Naznaczeni czerwieni*¹ twarze ludzi są w różnym stopniu pomalowane czerwoną farbą. Można ten obraz odczytywać jako symbol stawania się homo sovieticusem pod wpływem ustroju realnego socjalizmu. Czy taka diagnoza, czy taka sugestia jest jednak uprawniona? Czy realny socjalizm mógł rzeczywiście stwarzać „nowego człowieka”? Czerwonego człowieka? Czy polityka może być silniejsza od biologii?

HOMO SOVIETICUS

Aleksandr Zinowiew przekonywał nas, że tak. Według niego ten ustrój miał wielką moc sprawczą. Po rewolucyjnym zniszczeniu szacunku dla tradycyjnej kultury i hierarchicznych światopoglądów najważniejszą cechą nowego człowieka stała się bezgraniczna pogarda dla dotychczasowych systemów wartości

¹ Olej, płótno; 50 cm × 73 cm (kolekcja prywatna).

moralnych, intelektualnych i estetycznych. Automatycznie prowadziło to do uzyskania przez niego nachalnej, prostackiej pewności siebie, bo bycie takim, jakim się jest z natury i takim, jak większość ludzi z najniższych warstw społecznych, prezentowane było jako nowy wzorzec godny szacunku. Bez świadomości, że ten wzorzec to wzorzec miernoty. Ważną cechą homo sovieticus, jak pisze Zinowiew, jest niezwykle silne pragnienie przynależności do „kolektywu”, przynależności do tej najprymitywniejszej większości, która przestała dostrzegać swój prymitywizm i przestała się go wstydzić. Taki „kolektyw” nie ma oczywiście poglądów, a tylko stereotypy zachowań. I nie jest warstwą wyłącznie ludzi nieposiadających wykształcenia. Najgroźniejszy homo sovieticus ma formalne wykształcenie, jest natomiast barbarzyńcą kulturowym i światopoglądowym. Jest osobnikiem o moralności zależnej od okoliczności. Zinowiew w książce *Homo sovieticus* stwierdza:

Homosos jest uniwersalny. Gdy trzeba, zdolny jest do każdej podłości. Pod warunkiem oczywiście, że nie będzie za to ukarany. Gdy może, zdolny jest do każdego dobrego uczynku, jeśli zostanie on właściwie oceniony przez kolektyw lub kierownictwo. Homosos jest istotą, z której – w zależności od potrzeb i sytuacji – można ulepić wszelkie pożądane społecznie postacie².

² A. Zinowiew, *Homo sovieticus*, Polonia Book Fund LTD, Londyn 1984, s. 183.

Skoro stara się być taki jak inni, jak większość, traci – nie zauważając tego – wolność. Zyskuje zaś – robiąc to, co większość – zwolnienie z indywidualnej odpowiedzialności. Traci samodzielność myślenia, zyskuje poczucie siły, jaką ma tłum. Taką charakterystykę homo sovieticus w sensie psychicznym przyjmowali po Zinowiewie też Michaił Heller i Leszek Kołakowski.

W Związku Sowieckim w latach 20. XX wieku podjęto próbę stworzenia nowego człowieka również w sensie biologicznym. Badania te i eksperymenty prowadził rosyjski biolog profesor Ilja Iwanow na polecenie władz komunistycznych. Iwanow eksperymentował w trakcie wypraw do Afryki oraz w specjalnie do tego stworzonym ośrodku w Suchumi. Podejmował próby zapłodnienia zarówno szympansic nasieniem ludzkim, jak i kobiet nasieniem szympanców³. Wszystkie te próby na szczęście skończyły się kompletnym niepowodzeniem, choć świadczą o skali ideologicznego szaleństwa komunistów. W tej sprawie Zło niestety nie powiedziało ostatniego słowa. Projekt miał osobiste wsparcie Stalina, jak jednak zrozumieć to, że do udziału w eksperymentach kobiety zgłaszały się na ochotnika?

³ A. Westoll, *Szympansy z azylu Fauna*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2013, s. 58.

BUNT TŁUMU

Wydaje się, że ukształtowanie za pomocą ideologii komunistycznej homo sovieticus nie było możliwe, jeśli miało polegać na masowych zmianach charakterologicznych. Cechy opisywane jako typowe dla człowieka sowieckiego pojawiły się przed powstaniem ideologii komunistycznej, a i teraz mają je ludzie, którzy nie byli kształtowani przez tego typu ustrój. Pierwszymi analitykami upadku światopoglądów, które można nazwać hierarchicznymi, byli Gustave Le Bon, a później José Ortega y Gasset – oni też zwrócili uwagę na zestaw owych cech, o których była mowa powyżej.

Le Bon obserwował i opisywał w *Psychologii tłumu* regres kulturowy i aksjologiczny w postawach psychologicznych ludzi, dopatrując się jego przyczyn w tak zwanej rewolucji przemysłowej. Wskazywał na przemianę społeczno-ekonomiczną, rozwój przemysłowy i odkrycia w dziedzinie nauki jako siły wzmacniające – paradoksalnie – wpływ popędów i instynktów ludzi na ich działania i wybory. Zauważył także wzrastającą przewagę nieświadomości nad świadomymi motywami, którymi kierują się ludzie, w wyniku wpływu, jaki wywiera nowa potęga, potęga tłumu. Dyktatura tego tłumu odrzuca dorobek kultury, dyscyplinę, odpowiedzialność i większość reguł. Jest siłą destrukcyjną, usprawiedliwiającą poposalność, bylejałość i utratę indywidualności jednostek tworzących

tłum. Siłą wyzwalającą w ludziach głupotę, która rozprzestrzenia się błyskawicznie jak lustrzane odbicia. Kształtującą typ człowieka o takich cechach, jakie miał późniejszy homo sovieticus.

Przemyślenia José Ortegi y Gasset sformułowane w *Buncie mas* (opublikowanym najpierw jako seria artykułów w gazecie „El Sol” w 1929 roku, a więc zanim objawił się wpływ ustroju realnego socjalizmu na psychikę ludzi) zawierają podobną diagnozę tłumy – a konkretnie osób, które z masy, tłumy niczym się nie wyróżniają i są „jedynie powtórzeniem typu biologicznego”. Podobnie jak Le Bon także i Ortega y Gasset przyczyn tego stanu rzeczy upatruje w źle wykorzystywanych osiągnięciach nauki i uprzemysłowienia oraz wprowadzaniu demokracji liberalnej, uczącej wszechogarniającej równości, praw człowieka i obywatela, ale nieuczącej odpowiedzialności indywidualnej, obowiązków ani szacunku dla osiągnięć cywilizacyjnych czy ich twórców. Podstawą rosnących żądań zaspokajania przez „świat” wszelkich potrzeb życiowych staje się przekonanie, że „wystarczy być”. Sam fakt pojawienia się na świecie rzekomo uzasadnia coraz większą liczbę praw i wiarę, że wszystko wolno, a do niczego nie jest się zobowiązany. Ludzie tak kształtowani, prymitywni, przeciętni i banalni, w dodatku „mają czelność domagać się prawa do bycia przeciętnymi i banalnymi i do narzucania tych cech wszystkim innym”. Uderzający jest ich infantyizm i rozkapryszenie.

Mimo że diagnozy Le Bona zostały sformułowane w końcu XIX, a Ortegi y Gasseta na początku XX wieku, są one aktualne do dzisiaj, a pospolitość i prymitywizm ludzi tak powszechny, że nawet ktoś, kto stara się opisać te fakty, musi również sobie przyglądać się z najwyższą uwagą, obawą i krytycyzmem.

Skąd więc wziął się ten „nowy człowiek”, homo sovieticus, członek tłumu czy zbuntowanej masy? I czy rzeczywiście jest to „nowy człowiek”?

BOSKA EWOLUCJA

Warto spojrzeć na homo sapiens (a także na jego funkcjonowanie w społeczeństwie i polityce) jako na stworzenie biologiczne i biologicznie uwarunkowane. Odpowiedź na pytanie o pochodzenie „nowego człowieka” mogą przynieść badania biologów, zoologów i prymatologów. Wątpliwości, czy należy je odnosić do człowieka, zostały już dawno (i jak się zdaje – ostatecznie) rozwiane.

Jednym z założeń nowożytnej kultury europejskiej było zdecydowane oddzielenie świata zwierząt od świata ludzi. Ten mentalny mur – oddzielenie i przeciwstawienie, tak prawie oczywiste w obszarze właśnie kultury – przyjęty i przeniesiony został też w obszar biologii i... świadomości. U jego źródeł zaś leży przekonanie o absolutnej ludzkiej wyjątkowości. Zresztą i dzisiaj wciąż wiele osób ma problem z pogodzeniem dogmatu o stworzeniu z teorią

ewolucji świata biologicznego oraz – szerzej – z teoriami ewolucyjnego rozwoju wszechświata. Bardziej jednak niż tezy Darwina zrozumienie tego problemu ułatwiają nam przemyślenia Doktora Anielskiego św. Tomasza z Akwinu, który widział Boga we wszystkich żywych stworzeniach jako ciągle utrzymującego ich istnienie.

W sensie doktrynalnym stworzenie świata przez Boga oznacza więc, że wszystko, co istnieje, otrzymuje to istnienie – nieustannie – od Niego. Otrzymuje je jako energię i plan rozwoju. Bóg jako pierwsza przyczyna, która również dla siebie jest przyczyną, nie może być więźniem czasu. Jest jego władcą, a raczej – skoro współczesna fizyka udowodniła istnienie różnych równoległych (czyli mających różną prędkość) czasów – jest władcą wielu czasów. Świat ewoluujący to boski akt twórczy, być może niekończący się nigdy. To jest jedyny możliwy powód tego, że świat w czasie staje się coraz bardziej złożony i skomplikowany.

Sprzeczności między doktryną katolicką a teoriami ewolucyjnego rozwoju wszechświata, świata i organizmów żywych nie ma. Bóg jest ewolucją. Święty Augustyn w *De Genesi ad litteram* napisał, że Stwórca umieścił w rzeczach *rationes seminales*, wewnętrzne siły, które nadają im napęd rozwoju. Ponieważ daje on i utrzymuje istnienie każdego stworzenia i jest też między innymi napędem elektronów wokół jąder atomów, to prawdziwymi teologami są fizycy i biologowie, nawet jeśli nie zdają sobie z tego sprawy.

Mimo to jednak poglądy kreacjonizmu naiwnego były długo poglądami dominującymi. Teorię ewolucji z kolei wykorzystywano jako argument w walce z religią, choć i wielu niewierzących nie uchroniło to przed uznawaniem ludzi za istoty całkowicie jakościowo różne od zwierząt.

Być może twierdzenie, że Bóg stworzył człowieka na swoje podobieństwo, jest tylko zbyt wycinkowe, bo w rzeczywistości Bóg stworzył/stwarza cały świat na swoje podobieństwo. Może właśnie cały świat jest do Niego podobny?

PRZYCHODZI CZŁOWIEK DO ZOOLOGA

Współczesne nauki biologiczne dostarczają wielu niezwykle fascynujących i zaskakujących obserwacji, które dowodzą, że różnice między światem ludzi i światem zwierząt mają charakter wyłącznie ilościowy, a nie jakościowy. Przykłady podobieństw dotyczą nie tylko najbliższych nam naczelnych, lecz większości przedstawicieli świata zwierzęcego. Cechy, które uznajemy za wyróżniające i wyjątkowe dla ludzi, rozpoznać można w jakiejś skromniejszej formie u wielu innych zwierząt.

I tak z badań genetycznych wynika na przykład, że różnica między ludźmi a szympanсами jest mniejsza niż między poszczególnymi gatunkami muszek owocówek. Wszystkie gatunki gibbonów należą do jednego rodzaju *Hylobates*, ale są oddalone od siebie

genetycznie bardziej niż ludzie od szympanśów czy bonobo, z których genami nasze są identyczne w 98 procentach! Stwierdzono ponadto występowanie u małp i ludzi identycznych grup krwi. Warto tu przypomnieć słowa, które wypowiedział Charles R. Magel, filozof i działacz na rzecz praw zwierząt:

Zapytaj naukowców, dlaczego eksperymentują na zwierzętach, a odpowiedzą: „Ponieważ zwierzęta są takie jak my”. Zapytaj naukowców, dlaczego z moralnego punktu widzenia w eksperymentowaniu na zwierzętach nie ma nic złego, a odpowiedzą: „Ponieważ zwierzęta nie są takie jak my”. Eksperymenty na zwierzętach opierają się na logicznej sprzeczności.

Gordon G. Gallup jako pierwszy przeprowadził test nazwany testem lustra. Polegał on na namalowaniu kropek czerwoną farbą na czołach śpiących szympanśów. Gallup obserwował, jak po przebudzeniu reagują na swoje odbicie. Każdy szympanś starał się natychmiast zetrzeć kropkę z czoła, rozumiejąc, że w lustrze widzi siebie. Co oznacza, że szympanсы są świadome swojego jednostkowego, indywidualnego istnienia. Obserwacja zdolności szympanśów do komunikowania innym swoich potrzeb i myśli zmusza do nazwania ich „naszymi niepokojącymi sobowtórami”. Zwłaszcza że manifestują wszystkie właściwie ludzkie uczucia, łącznie z altruizmem.

Czy do tego, aby myśleć, potrzebny jest język? Potrzebne są słowa? Ciekawej tezy dowodzi profesor

Temple Grandin⁴. Jako wysokofunkcjonująca osoba z autyzmem zajmuje się zarówno badaniami nad tym zaburzeniem, jak i badaniami w zakresie rozumienia zachowania się zwierząt. Jest w tych dziedzinach cenną ekspertką. Twierdzi, że zwierzęta myślą, i to myślą właśnie podobnie jak osoby z autyzmem. Jest to myślenie nie słowami, lecz obrazami, ale jednak myślenie. Jej niezwykle sukcesy jako konsultantki w zakresie życia, hodowli i uboju zwierząt w wielkich farmach w Stanach Zjednoczonych świadczą o tym, że rzeczywiście rozumie ich lęki i potrzeby.

Można wskazać wiele innych podobieństw między światem zwierząt i światem ludzi, które dowodzą, że jest to jeden i ten sam świat.

I tak zwierzęta potrafią się leczyć z wykorzystaniem właściwości roślin i minerałów. Robią tak na przykład hieny, gazy, antylopy i szakale, mocząc swoje poranione w walkach nogi w sodowym jeziorze Magadi w Tanzanii. Jego woda zawiera wiele różnych soli mineralnych, które dostając się do ran, powodują ból i pieczenie, ale jednak mają zbawienne, leczące działanie. Niedźwiedzie grizzly z Parku Narodowego Yellowstone moczą swoje rany w źródle siarkowym, również uzyskując taki leczący efekt. Piżmaki smarują skaleczenia żywicą jodłową, która przyspiesza proces gojenia. W Finlandii reny leczą swoje rany, kładąc się na porostach zawierających

⁴ T. Grandin, *Zrozumieć zwierzęta*, Media Rodzina, Poznań 2011, s. 326–328.

substancje bakteriobójcze. Natomiast foki, gdy poranią się na rafach czy skałach, owijają się morskocynamami zawierającymi antybiotyki i środki tamujące krwawienie. Wilki w razie zatruc pokarmowych zjadają pokrzywy w celu wywołania wymiotów.

Altruizm obserwujemy zarówno między osobnikami tego samego gatunku (np. w wypadku nietoperzy przekazujących pokarm słabszym od siebie), jak i między osobnikami różnych gatunków. Potwierdza tę tezę jeden z wielu przykładów opisanych przez prymatologa profesora Fransa de Waala. W ogrodzie zoologicznym Twycross w Anglii małpka bonobo o imieniu Kuni zobaczyła, jak lecący szpak uderzył o szybę jej wybiegu. Małpka cały dzień opiekowała się ogłuszonym ptakiem, wygładzała jego pióra, pomagała rozłożyć skrzydła, aż wreszcie wyniosła go na szczyt drzewa, skąd ptak mógł odlecieć z wybiegu. To zdarzenie jest dowodem nie tylko na działania altruistyczne, ale również na istnienie wśród zwierząt empatii, dzięki której Kuni zrozumiała potrzeby, jakie ma osobnik innego gatunku, potrzeby przynajmniej częściowo różne od jej potrzeb⁵.

O tym, że zwierzęta rozmawiają ze sobą, wiemy od dawna, choć nazywamy to – niekoniecznie trafnie – porozumiewaniem się, a nie rozmową. Za stosowaniem takich pojęć też kryje się chęć zamanifestowania naszej ludzkiej, jakościowej wyjątkowości.

⁵ F. de Waal, *Małpa w każdym z nas*, Copernicus Center Press, Kraków 2015, s. 10.

Bardzo ciekawe badania w zakresie komunikacji między pieskami preriowymi przeprowadził wykładający na uniwersytecie w Berkeley profesor Constantine Slobodchikoff. Za pomocą urządzeń nagrywających ultradźwięki zarejestrował odgłosy wydawane przez te zwierzęta. Okazało się, że przekazują one sobie wzajemnie informacje składające się z dźwięków odpowiadających rzeczownikom, czasownikom i przymiotnikom. Mogą więc informować się nie tylko o nadchodzącym zagrożeniu, ale i o tym, czy jest to człowiek, czy jastrząb albo kojot. Czy się porusza szybko, czy wolno, a jeśli jest to człowiek, to czy ma strzelbę, albo jaki ma kolor jego ubranie. Pieski te przekazują sobie również wiele innych informacji, których nie udało się zidentyfikować...

Wśród zwierząt obserwuje się także inne „ludzkie” zachowania: niewolnictwo, formy grzecznościowe, zabijanie dla sportu (delfiny), szacunek dla najstarszych osobników, oszołamianie się alkoholem i innymi substancjami narkotycznymi, zorganizowaną uprawę grzybów z sianem, nawożeniem podłoża i plewieniem (mrówki), przesady (świnie), bezcelowe okrucieństwo (koty), celebrację śmierci (słonie), seks za pożywienie (szympansy), zabiegi kosmetyczne i wiele innych.

To tylko kilka cech i zachowań, które mogły jeszcze nie tak dawno wydawać się cechami i zachowaniami charakterystycznymi wyłącznie dla ludzi. Teraz widzimy, że wyewoluowały one ze świata

zwierzęcego. Tak więc epitety, którymi nazwali nas w tytułach swoich książek Desmond Morris – „naga małpa” i Jared Diamond – „trzeci szympan”, wydają się w pełni uzasadnione.

Oczywiście nie we wszystkim jesteśmy podobni. Są pewne odrębności między nami a niektórymi gatunkami zwierząt. Jak zauważył Mark Twain: „Jeśli przyjmiesz do siebie zagłodzonego psa i go dobrze odżywisz, to cię nie ugryzie. Na tym właśnie polega różnica między psem a człowiekiem”.

Skoro więc odmienności między światem ludzi i światem zwierząt mają charakter wyłącznie ilościowy, a nie jakościowy, to wnioski z analiz procesu ewolucyjnego zwierząt mogą znaleźć zastosowanie w zrozumieniu homo sapiens i jego rozwoju.

ZWYCIEŃSKI INFANTYLIZM

Na początku XX wieku holenderski anatom Lodewijk Bolk zauważył, że budowa człowieka różni się od budowy małp – paradoksalnie – podobieństwem do wyglądu ich płodu⁶. O tym podobieństwie świadczy nie tylko ogólny kształt, ale także rozdęta czaszka i płaska twarz. Ponadto spośród wszystkich gatunków ssaków naczelnych tylko człowiek jest prawie pozbawiony owłosienia. Jak napisał Desmond Morris: „Na świecie żyją sto dziewięćdziesiąt trzy gatun-

⁶ H. Plessner, *Pytanie o conditio humana*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1988, s. 55.

ki małp. Z nich sto dziewięćdziesiąt dwa to gatunki owłosione. Wyjątek stanowi naga małpa, która sama nadała sobie nazwę *Homo sapiens*”⁷. Gdyby noworodek ludzki miał osiągnąć porównywalną gatunkowo dojrzałą formę, jaką osiągają noworodki małp, to ciąża ludzka trwałaby około 21 miesięcy, bo dopiero wtedy mózg małego dziecka rozwija się do poziomu porównywalnego z poziomem, jaki mają mózgi innych naczelnych w momencie urodzenia. Jednakże narodziny tak ukształtowanego dziecka nie byłyby możliwe ze względu na zbyt mały rozmiar kanału rodowego kobiety. Oczywiście w toku ewolucji mogłoby dojść do poszerzenia tego kanału, ale rozstaw bioder kobiety musiałby przekraczać metr, co z kolei bardzo utrudniałoby nie tylko bieganie, ale nawet chodzenie na dwóch nogach⁸.

Dwunożność była wszak cechą na tyle istotną i dającą tak duże przewagi naszym prehistorycznym przodkom, że ostatecznie przemiany ewolucyjne poszły w kierunku wydawania na świat noworodków zupełnie niedojrzałych w porównaniu z innymi naczelnymi.

Zjawisko zachowywania w toku ewolucji u niektórych gatunków cech larwalnych, embrionalnych czy infantylnych nosi nazwę neotenu i zostało wielo-

⁷ D. Morris, *Naga małpa*, Wydawnictwo Ewal, Warszawa 2005, s. 5.

⁸ R. Dunbar, *Człowiek. Biografia*, Copernicus Center Press, Kraków 2016, s. 262–265.

krotnie opisane przez biologów i zoologów. Polega ono na uzyskaniu możliwości rozmnażania się już w początkowych stadiach rozwoju. Neotenia może być pełna, gdy wraz z uzyskaniem tej możliwości zostaje zahamowany dalszy rozwój. Wiele z tych gatunków, jak na przykład aksolotl, zachowuje takie cechy w całym okresie swojego życia, gdyż okazały się aktualnie najlepszymi sposobami adaptacji środowiskowej. Jest też neotenia niepełna, gdy zachowane zostają w okresie dorosłości tylko niektóre cechy infantylne.

Tak więc wielu naukowców uznaje pierwszy po urodzeniu rok życia człowieka za zewnętrzną fazę rozwoju embrionalnego, a kolejne lata za najdłuższe wśród ssaków dzieciństwo, bo sam mózg rośnie aż do 23. roku życia. Ten wzrost daje ostatecznie moc, która przeciętnie jest większa od mocy mózgów wszelkich innych zwierząt. Okres nawet umownego dzieciństwa człowieka jest nieporównywalnie dłuższy niż u innych ssaków. Jednocześnie równie ważnym źródłem przewagi, jaką ma *homo sapiens* nad innymi zwierzętami, jest przeniesienie w „dorosłość” ciekawości świata, chęci uczenia się, skłonności do zabaw i pomysłowości młodych ssaków. „Dorosłość” w wypadku człowieka jest kategorią bardzo umowną, jako że nie spełnia ona kryteriów, które stosujemy przy określaniu gatunkowej dorosłości innych naczelnych.

Mózg ludzki ukształtowany w wyniku ewolucji składa się właściwie z trzech mózgów ułożonych

na sobie warstwami. Pierwszy, najstarszy, jest mózgiem gadzim, drugi – mózgiem ssaków pierwotnych, a trzeci – rozwiniętym mózgiem naczelných. O ile dwa pierwsze „dorastają”, o tyle trzeci pozostaje plastyczny i zachowuje trwałą dyspozycję do uczenia się i zabawy. Są to podstawowe cechy, które zapewniły człowiekowi niezwykle sukces ewolucyjny. Na poziomie mózgu brak jest jakiegokolwiek krytycznej linii kończącej dzieciństwo, bo samo zakończenie wzrostu nią nie jest. Nawet jeśli więc człowiek wychodzi w jakimś sensie z tego, co sam nazywa dzieciństwem, to dzieciństwo nie wychodzi z niego nigdy.

Permanentne dzieciństwo jest jednak również źródłem poważnego zagrożenia gatunkowego.

Normalny proces uczenia się polega w istotnym stopniu na naśladowaniu rodziców i dziadków. Jeśli rozwój cywilizacyjny przebiega w szalonym tempie, a nowinki ideologiczne i technologiczne pojawiają się zbyt szybko, by rodzice nadążali z ich krytycznym poznaniem, to tracą oni autorytet w oczach dzieci. Zwłaszcza w sytuacji, gdy ideologie te występują przeciwko dotychczasowym hierarchiom i systemom wartości. Najbardziej szkodliwe okazały się takie nowe ideologie jak błędna idea równości i idea postępu. Nastąpił wtedy rodzaj sprzężenia zwrotnego.

Jeśli rodzice i dziadkowie przestali być autorytetami, to zaczęło się naśladowanie rówieśników i ruszyła lawina infantylizmu. Nastąpiło przejście od zabiegania o uznanie rodziców i dziadków, które było

charakterystyczne dla społeczeństw hierarchicznych, do zabiegania o uznanie w grupie rówieśników, do zabiegania o uznanie „kolektywu”. Parafrazując Edmunda Burke’a: młode, ludzkie zwierzę przestało być spadkobiercą.

Ewolucja to proces dotyczący także historii, rozwoju i organizacji życia społecznego. Łatwo wykażać, że są one również wynikiem dostosowań ewolucyjnych, ułatwiających przetrwanie. Pierwszym dowodem jest fakt, że zorganizowana społeczność homoidów była skuteczniejsza w organizacji polewań niż pojedyncze osobniki.

Ewolucja kultury i przemiany z nią związane – przez to, że prowadzą do odrzucenia hierarchicznej organizacji społecznej – wyzwalają, wcześniej trochę tłumione w ludziach, cechy infantylne. Trzeba jednocześnie pamiętać, że nie wszystkie pojawiające się w procesie ewolucyjnym mutacje i adaptacje są docelowo korzystne. Paleontologia dostarcza nam przykładów tysięcy zmian, które pojawiły się w toku ewolucji, ale ostatecznie okazały się dla kolejnych organizmów niekorzystne i doprowadziły do ich wyginięcia.

DROGA DO UPADKU

Historycznie ideologia równości ludzi zaczęła się pojawiać w XVIII wieku w związku z kryzysem monarchii, ale pełny jej rozwój obserwujemy od wieku XIX. Ideologia ta, nie w kategorii prawa do równych

szans, ale w kategorii równości powszechnej w każdym aspekcie, jest kłamstwem prowadzącym do powolnego, ale całkowitego upadku społeczeństw hierarchicznych. Ponadto po osiągnięciu pewnego poziomu zamożności wiodących grup czy klas społecznych w różnych państwach europejskich – zgodnie z zasadą biologiczną osiągania potrzebnej ilości pożywienia jak najmniejszym wysiłkiem – pojawiła się pokusa sięgania po te zasoby przez biedniejszych.

Demokracja, a zwłaszcza demokracja powszechna są wynalazkami stosunkowo nowymi. Początki uspołecznionych naczelnych zawsze cechował porządek hierarchiczny – władza jednostki i szczeble wpływów. W strukturach hierarchicznych trzeba zasługiwać, w demokracji wystarczy być. Hierarchiczne społeczeństwo generowało doskonalenie się i rozwój coraz bardziej wyrafinowanych ideałów, estetyk i myśli, społeczeństwo równościowe zaś popada w narcystyczną samoakceptację, wynikającą z upowszechniania podświadomego przekonania, że wystarczy naśladować rówieśników, bo to, w związku z wzajemnością naśladowania, gwarantuje akceptację środowiskową. Najłatwiej jednak naśladuje się kolorową miernotę.

Idea równości zwiększa radykalnie oczekiwania społeczne: ochrony, opieki, bezpieczeństwa, a przede wszystkim dostatku. Bez wysiłku, bez odpowiedzialności, bez samodzielności. Wyzwała zarazem tendencje do zniszczenia kultury, tradycyjnej rodziny

i szacunku dla historii, a przy okazji pogardę dla inteligencji, dobrych manier i szczytowych osiągnięć ludzkiej myśli i sztuki. Destrukcja kulturowych wzorców ludzkiej dorosłości uwalnia wcześniej przez nie tłumiony biologiczny, neoteniczny infantylizm.

W związku z brakiem biologicznie zdeterminowanej formy dorosłości, gdy znika – ukształtowana w przeszłości – społeczno-kulturowa motywacja do uzyskiwania dojrzałości, homo sapiens pozostaje wyłącznie dziecinny. I narasta jego dziecięca frustracja objawiająca się często prymitywizmem, chamstwem i wulgarnością. Wszystkie naczelne żyją w społecznościach hierarchicznych. Tak też żył przez kilka tysięcy lat człowiek. Znacząca, równościowa zmiana struktur społecznych w większości państw, która to zmiana miała być szlachetnym postępem, degeneruje nasze wcześniejsze osiągnięcia kulturowe. Wszechogarniająca konsumpcja, stającą się jedynym celem zdziecinniałych homo sapiens, prowadzi do upadku.

Obserwowane i opisywane w XIX i XX wieku zjawiska, nazywane buntem mas, homo sovieticusem czy człowiekiem bez właściwości, są tym samym i mają to samo, niezwykle silne, umocowanie biologiczne.

Wciąż oczywiście są osobistości i środowiska, które tej degradacji kulturowej człowieka starają się przeciwstawiać. Nadzieje na ich zwycięstwo są však płonne i nie ma dla nich podstaw, bo coraz większej liczbie nowych, dziecinnych ludzi Immanuel Kant,

Fidiasz czy Thomas Stearns Eliot nie są do niczego potrzebni. Jednakże odrzucenie wzorców, które przekraczają człowieka, na rzecz infantylnego naśladowania rówieśników i utrwalenie najbardziej negatywnych cech zdziecinnienia w dłuższej perspektywie doprowadzą do regresu cywilizacyjnego ludzkości. Ludzkości, która wcale nie ma boskiej gwarancji na wieczne istnienie.

Stada roszczeniowych i leniwych osobników, którymi się stajemy, „wyjedzą sobie” w ten sposób drogę do zagłady, tworząc „kulturę” przegrywającą we współzawodnictwie, a przyszłe cywilizacje ludzkie tworzyć będą wojownicze społeczności rządzone despotycznie. Świata, który znany był ludziom w minionych wiekach, uratować się nie da, chociaż próbować trzeba.

Krytyka terapii duszy polskiej

*Za młodych lat szeptałem żarliwie i skrycie
Modlitwę o wydarzeń tragicznych przeżycie¹*

Bolesław Leśmian, *Modlitwa*

Przyzwyczajiliśmy się sądzić wyniośle, że przeznaczenie to coś, w co wierzą tylko ludzie starsi, niewykształceni, z małych ośrodków i że ono nie istnieje. Jest jednak inaczej. Przeznaczenie istnieje, choć nie jest zapisane w gwiazdach. Determinuje je, jak to już Heraklit zauważył, charakter człowieka formowany w pierwszych latach życia pod wpływem wychowania oraz relacji z rodzicami i najbliższym otoczeniem. Kształtowane są wtedy najważniejsze przekonania na temat świata, tego, kim jesteśmy, ale też kim powinniśmy się stać. Również co do naszej przynależności rodzinnej, a następnie społecznej i narodowej. Znaczna część tych przekonań jest nieuświadomiona. Przeznaczenie jest więc zapisane w najgłębszych struktu-

¹ Fragment wiersza *Modlitwa* z tomu: B. Leśmian, *Poezje zebrane – Napój cienisty*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2010, s. 429.

rach naszej psychiki. Heraklit wiedział, że charakter jako zespół cech sterujących naszym życiem określa nasz los. Ten pogląd uzyskał jednak naukowe przesłanki dopiero w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Myśl o istnieniu przeznaczenia jako czegoś, czemu jesteśmy podporządkowani, budzi lęk – ale prozakiem przeznaczenia odmienić się nie da.

Czy Polakami rządzi przeznaczenie? Czy jest ono dobre? A jeśli nie jest, to czy da się je pokonać i zmienić?

We współczesnej psychologii powstawanie i funkcjonowanie charakteru dobrze wyjaśnia teoria skryptu Erica Berne'a². Skrypt jest według niej podświadomym planem życiowym, który tworzy się w każdym człowieku w okresie dzieciństwa. Wyrażanie przez rodziców i dziadków określonych przekonań ma formujący wpływ na ich dzieci czy wnuków, które właśnie te wartości i postawy przyjmują jako własne. Skrytem staje się sposób, w jaki zaczynają one rozumieć otaczającą je rzeczywistość, a następnie kierować swoim życiem. Z pokolenia na pokolenie przekazywane są również poglądy dotyczące tożsamości, przynależności, zalet, wad, poczucia własnej wartości, wstydliwych zdarzeń, obowiązków i lęków. Rodzice i dziadkowie mówią o nich, ale duża część tego dziedzictwa przekazywana jest też niewerbalnie: ton głosu, aprobata lub dezaprobata i inne emocje komunikowane

² E. Berne, *Dzień dobry... i co dalej*, Rebis, Poznań 2008, s. 342–360.

wyrazem twarzy oraz gestami to sygnały wystarczające do edukacji dziecka pragnącego akceptacji. Dziecko, które czuje, że może ją uzyskać tylko dzięki lojalności i podporządkowaniu. Elementem kształtującej się w tym okresie indywidualnej, ludzkiej świadomości i podświadomości jest także identyfikacja narodowa. Z dostarczanych nam przez otoczenie przekonań każdy z nas buduje sobie w dzieciństwie mechanizmy – bardzo potrzebne w dorosłym życiu – automatycznego, instynktownego reagowania.

Ostatecznie skrypt, objawiający się typem charakteru człowieka, staje się zespołem wewnętrznych determinant psychicznych. Uwarunkowań, które – w przeważającej części nieświadome i ukryte – mają siłę hipnotycznych sugestii. Funkcjonują jako zasadniczo niezmiennie struktury osobowości. Oprócz tych pozytywnych, wiele uwarunkowań może mieć działanie negatywne i pracować jak wrogie programy – „wirusy” – w systemie operacyjnym komputera. Te destrukcyjne elementy naszego skryptu to kłamstwa i nieświadomy autosabotaż. Czarna mgła, w której poruszamy się po omacku – bez udziału rozumu. W codziennym życiu i działaniu intuicje oparte na szkodliwie zaprogramowanej podświadomości zazwyczaj wygrywają z rozumem.

Energię nadają skryptowi zawarte w nim nieświadome uczucia. Ten rodzinny, emocjonalny „testament” jest wiedzą, którą się ma, ale o której się nie wie. W dorosłym życiu człowieka skrypt ujawnia się przez

powtarzanie zakodowanych postaw, zachowań, wyborów i wzorów wchodzenia w związki. Negatywne elementy skryptu to dążenia o charakterze neurotycznym, które trwają tak długo, jak długo aktualne są stojące za nimi potrzeby emocjonalne. Mają one zazwyczaj charakter kompulsywny i mogą rodzić nieokreślony lęk. Pograżanie się w neurotycznych dążeniach i wymaganiach utrudnia, a czasem całkowicie uniemożliwia uświadomienie sobie swoich autentycznych, rzeczywistych talentów i innych wartościowych cech. Skryptowe, nieświadome dążenia neurotyczne prowadzą do marnotrawienia sił konstruktywnych.

Międzypokoleniowa, cicha transmisja wartości i wytycznych ciągnie się od prapradziadków przez dzieci i wnuki na następne pokolenia. Dotyczy ona oczywiście wszystkich sfer życia każdego z nas, w tym naszej przynależności narodowej. Zespół skryptowych uwarunkowań związanych z narodowością decyduje więc o tym, czym jest nasza „polska dusza”, narodowy czy społeczno-narodowy aspekt naszej psychiki, zarówno świadomości, jak i podświadomości. Poznać skrypt to poznać przeznaczenie – to, do czego dążymy nieświadomie.

TAJEMNICE POLSKIEGO PRZEZNACZENIA

Winston Churchill powiedział kiedyś: „Pozostaje to tajemnicą i tragedią historii, że naród polski gotów do wielkiego heroicznego wysiłku, uzdolniony, walecz-

ny, ujmujący, powtarza zastarzałe błędy w każdym prawie przejawie swoich rządów”³. Tajemnica i związane z nią powtórzenia tkwić mogą właśnie w skrypcie programującym charakter większości z nas. Ten zbiorowy charakter jest naszym przeznaczeniem. Dobra wiadomość jest taka, że przeznaczenie każdy może próbować zmienić, uświadamiając sobie zawartość własnego skryptu. I odmienić los swoich dzieci, wnuków, prawnuków... czyli los przyszłych pokoleń Polaków. Skrypt jako powtarzająca się opowieść będzie istniał do momentu, w którym odważymy się posługiwać własnym rozumem, w zaplanowany sposób, poszerzając swoją samoświadomość.

Formułowanie wskazań i postulatów dotyczących zmian, których powinni dokonać w swojej psychice czy charakterze inni ludzie, zawsze spotyka się z zupełnie naturalnym oporem. Pojedyncze „ja” ma charakter zintegrowany i żadnej, nawet najbardziej pozytywnej dezintegracji i reintegracji narzucić mu nie można. Zmian, jeśli uzna je za stosowne, każde „ja”, a zatem każdy z nas może próbować dokonywać tylko z własnej woli. Wymaga to jednak olbrzymiej pracy nad sobą, podejmowanej wbrew jakiejś części swojej psychiki.

Moja polska dusza jest w dużej mierze odzwierciedleniem tego, co wspólne w świadomości, a przede

³ J. Michałowski, *Noty i anegdoty dyplomatyczne*, Iskry, Warszawa 1977, s. 95.

wszystkim w podświadomości większości Polaków. Podstawową siłą kształtującą moje poczucie przynależności narodowej są więc prywatne, rodzinne przekazy i przeżycia związane z wydarzeniami historycznymi. Do kształtowania dziecka wystarczą okrucy takich opowieści, na przykład poczucie zagrożenia ze strony Niemców i Rosjan z okresu wojny, choć odległe, to przecież utrwalone w pamięci rodziców czy dziadków w postaci nie do końca opisanego doświadczenia krzywdy i czegoś złego.

Ojciec jako żołnierz Armii Krajowej o pseudonimie „Słaby”, babcia Janina czytająca napisy na murach Grodna malowane przez Sowietów w 1939 roku: „My Paljaków budiem riezat”, dziadek Franek wywieziony do łagru koło Archangielska, a później ciężko ranny pod Monte Cassino, mama jako kilkuletnia dziewczynka uciekająca polną drogą, na której przed nią i obok pojawiały się obłoczki kurzu wzniecane przez pociski ze strzelającego do niej Messerschmitta. Takich poruszających relacji było wiele. Wszystkie one kształtowały moich rodziców, ich charaktery i sposoby radzenia sobie ze światem. Zapadły w ich podświadomość, a ja zostałem nimi naznaczony, tak jak i oni zostali naznaczeni w podświadomości traumami związanymi z historią Polski przez ich rodziców i dziadków. Źródłem moich lęków są w istotnym stopniu ich lęki. Źródłem mojej samooceny narodowej jest ich samoocena narodowa. Istnieje tutaj wyraźna ciągłość. Prawie każdy z nas ma taką opowieść,

a w wielu polskich rodzinach te doświadczenia były jeszcze bardziej dramatyczne.

Później dochodzi do tego edukacja historyczna i kulturowa, polska poezja, proza, malarstwo, polskie filmy. Mickiewicz, Słowacki, Wyspiański i inni ugruntowują tylko to, co już zostało zaszczerpione. Tak więc podziw dla „Rudego” – Janka Bytnara czy „Alka” – Macieja Dawidowskiego i pojawiające się ostatecznie – choć nie w pełni uświadomione – przekonanie o własnej gotowości do bycia kamieniem na szaniec to w tej sytuacji coś zupełnie naturalnego⁴.

Niestety przekaz poprzednich pokoleń jest zbiorem informacji o różnych sposobach bycia ofiarą, a nie zwycięzcą. W dziecku w naturalny sposób pojawia się obniżone poczucie własnej wartości związane z przynależnością narodową, w jakimś stopniu też niepewności w świecie polityki, tak tej najbliższej, jak i międzynarodowej, co może pozostać stałą postawą dorosłego metrykalnie człowieka. Ten przekaz jest wstydliwą tajemnicą zapadającą w podświadomość. Tak więc w dorosłym życiu bycie ofiarą staje się dla naszej podświadomości łatwiejsze i bezpieczniejsze, bo ma ona na ten temat sporo niezbędnych danych. Choć niby dał nam przykład Bonaparte, to na pytanie: „Jak zwyciężać mamy?”, mało kto umie szybko odpowiedzieć. A może jednak nie dał?

⁴ A. Kamiński, *Kamienie na szaniec*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1958.

Skoro prawie wszyscy pochodzimy z rodzin, które przez wiele pokoleń żyły w ciągłym stanie zagrożenia i niezaspokożenia potrzeb biologicznych i psychicznych, to otrzymaliśmy dziedzictwo będące w istocie ciężarem. Można sobie z nim poradzić tylko wtedy, gdy zostanie w pełni uświadomione. Czy moje poczucie lojalności i szacunku dla przodków może mnie doprowadzić do bycia ofiarą? Czy nasz dług wobec poprzednich pokoleń polega na byciu takimi jak one, czy wręcz przeciwnie? Czy to by było lojalne w stosunku do naszych przodków – być silniejszymi, mądrzejszymi i skuteczniejszymi niż Niemcy i Rosjanie? Dzięki własnej sile i inteligencji? Czy powinienem wstydzić się sukcesu? Jaki jest sekret tej części mojej duszy, która jest polskością?

Zagrożenia, przed którymi stoimy, wynikają ze sterowania przez podświadomy skrypt wyobrażeniami, wyborami, działaniami i celami naszej narodowej i społecznej zbiorowości. Nie oznacza to oczywiście absolutnej determinacji, lecz tylko to, że skrytowe struktury czynnościowe mają dużo większą szansę na to, że dojdą do głosu, niż struktury racjonalne i świadome.

Nie jesteśmy niestety jak Anglicy, uczeni metod budowy imperium, czy jak Chińczycy – przekonywani, że „cierpliwość palcem dół wykopie”. Jesteśmy uczeni bycia ofiarami. Najważniejszy testament w naszej literaturze to *Testament mój* Juliusza Słowackiego,

w którym nakazuje się nam: „niech żywi [...] kiedy trzeba na śmierć idą po kolei, jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec”.

DZIAŁANIA ZNACHORÓW DUCHOWYCH

To, że jest jakiś poważny problem z charakterem czy emocjonalnością Polaków, dostrzegało już od co najmniej dwustu lat wielu rodzimych obserwatorów. Poetów, pisarzy, publicystów, psychiatrów i filozofów, duchowych znachorów proponujących terapie objawowe, bez diagnozy przyczyn kłopotów naszej polskiej duszy. Owe terapie duszy polskiej, które formułowano kiedyś i formułuje się dzisiaj, same w sobie są przejawem pewnych cech neurotycznych. Rys narcystyczny łatwo wskazać w nacjonalizmie i mesjanizmie, rys masochistyczny w odgrywaniu ofiary i samoponiżaniu się, schizofreniczny – w kontemplacji historii i zaprzeczaniu rzeczywistości. Neurotyczność narodu przejawia się w tym, że jedni jego przedstawiciele starają się go nadmiernie gloryfikować, a inni nim pogardzają i lubią go przy każdej okazji poniżyć.

Nacjonalizm polski może mieć oczywiście różne oblicza i nie zawsze jest tym samym. Inaczej definiowali swe idee Jan Stachniuk i Zadruga, a inaczej Roman Dmowski i Narodowa Demokracja. Dzisiaj wpływowych intelektualistów tego nurtu ideowego raczej nie ma. Mamy za to do czynienia z popularnym,

niewyrażonym nacjonalizmem ludowym jako jedną z najprostszych form obrony przed dyskomfortem wywoływanym przez tajemnicę skryptu.

Można powiedzieć: „Polsko, mamy problem”, bo odgrywanie roli szlachetnej ofiary to często stosowana metoda radzenia sobie ze świadomością klęsk, które ponosiliśmy w historii. Za tak głębokie zaszczepienie nam narcystycznego cierpiętnictwa odpowiada profetyzm naszych „wieszczów”. Mickiewicz, do którego „czucie i wiara silniej mówi [...] niż mędrca szkiełko i oko”, a także Słowacki – „duch trumny, smutkiem dumny”, zarazili nas romantyzmem, a ten współcześnie, jak celnie zauważył Bronisław Łagowski, stał się w Polsce totalny⁵. Najgorsze jest to, jak niewiele brakuje, aby ten romantyzm wszedł w fazę totalitaryzmu.

Jeśli naród wlatuje „w rajsłą dziedzinę ułudy” – do czego zachęca nas Mickiewicz – to będzie miał problem z lądowaniem w świecie rzeczywistym.

Polski mesjanizm to grupowe, grzeszne podszywanie się pod Jezusa Chrystusa. Przekonanie, że nie pracą i rozumnym wysiłkiem, lecz cierpieniem i ofiarą uzyskamy wyzwolenie oraz należny nam, w naszym mniemaniu, poziom życia. Podejmowane są, nawet dzisiaj, próby wykazania, że idee mesjanizmu dają się pogodzić z chrześcijaństwem. Jednakże szukanie interpretacji uwalniającej mesjanizm od

⁵ B. Łagowski, *Pochwała politycznej bierności*, Sprawy Polityczne, Warszawa 2010, s. 247.

zarzutu herezji, którą jest niewątpliwie, prowadzi na umysłowe manowce relatywizmu pojęciowego.

Twierdzenie, że „funkcję Chrystusa mogą też pełnić zbiorowości”, a więc i zbiorowość polska, na innych zbiorowościach robi zapewne takie samo wrażenie jak twierdzenie pojedynczej osoby, że jest ona nowym Chrystusem. Zastanawiający jest tylko znaczący udział księży katolickich w pielęgnowaniu tej herezji.

Pragnienie bycia ofiarą nawet bez przesłania mesjanistycznego również może być zapisane w naszym skrypcie. Już Dmowski zauważył, że: „Myśmy tak odbiegli od innych narodów, że święcimy klęski, gdy tamte święcą zwycięstwa”. Osobowość masochistyczna myli wyższość moralną, którą jakoby ma ofiara, z brakami intelektualnymi, technicznymi i organizacyjnymi. Bycie ofiarą staje się jednocześnie wygodnym pretekstem umożliwiającym zupełnie nieprawdopodobne lenistwo ludziom, którzy skądinąd niewątpliwie pragną być polskimi patriotami.

Nadmierny samokrytycyzm oraz poniżanie własnej narodowości i historii jest również rysem masochistycznym. Samobiczowanie się Jedwabnem to stosowanie odpowiedzialności zbiorowej tam, gdzie odpowiedzialności zbiorowej nie ma i nie może być. Poniżanie własnego narodu czy współobywateli nie uleczy duszy polskiej. Powtarzanie Polakom, że są antysemitami, jest nie tylko poniżaniem, ale przede wszystkim programowaniem negatywnym. Prowadzi do efektów odwrotnych od zamierzonych. Grupa

psychologów przeprowadziła w amerykańskich więzieniach analizę, badając, którzy z osadzonych słyszeli w dzieciństwie od swoich rodziców, że skończą w więzieniu. Okazało się, że tak negatywnie programowanych było 96 procent więźniów. Na pewno ich najbliżsi mieli dobre chęci...

Masochizmem są też próby rezygnacji z polskości na rzecz europejskości. Wy, którzy urodziliście się Polakami, porzućcie wszelką nadzieję na bycie kimś innym. Wyjścia z polskości nie ma. Ale polskość można odmienić.

Do uleczenia duszy polskiej nie doprowadzi poniżanie charakteru narodowego ani jego wywyższanie. Celem powinno być osiągnięcie realistycznego oglądu samych siebie i zrównoważenie tej dwubiegowości.

Kontemplacja historii jako uwięzienia duszy polskiej częściowo na Cmentarzu, a częściowo w Muzeum jest lekceważeniem teraźniejszości i przyszłości, w konsekwencji zaś uniemożliwia jej rozwój. Niektóre środowiska żyją w takim uścisku z przeszłością, że aż pachnie wokół nich trupem. Głodówka, którą jakiś czas temu zorganizowano w Krakowie „w obronie lekcji historii”, jest przykładem przekroczenia granicy obłędu. Już chyba każdy tygodnik w Polsce ma dodatek „Historia”. I coraz więcej mamy publicystów historycznych. Zapotrzebowanie na kontemplację i egzaltację historyczną rośnie. Za mało natomiast jest takich publicystów, którzy podejmują próby udzielenia inspirujących i porywających

odpowiedzi na pytania: „Jak odbudować polski przemysł?” (chodzi nie tyle o przemysł w Polsce, ile o przemysł będący własnością Polaków); „Jak rywalizować skutecznie z innymi gospodarkami?”; „Jak tworzyć warunki zwiększające zamożność obywateli i państwa polskiego?”; „Jak zbudować silną armię?”. Nie potrzebujemy w tygodnikach tyłu dodatków „Historia”, potrzebujemy dodatków „Przyszłość”. I codziennie stawianego sobie pytania: „A gdyby tak wyzwolić się z więzienia historii i zacząć być aktywnie obecnym w dziejach, które się dzieją?”.

Cechą neurotyczną jest także negowanie wszystkiego, co w naszej rzeczywistości politycznej jest pozytywne. Na przykład z pewnością nie żyjemy w absolutnej wolności, ale twierdzenie, że wolności w ogóle w Polsce nie ma, jest próbą neurotycznej, infantylnej zemsty na rzeczywistości i obrażaniem własnego umysłu. Jeśli pozwalamy sobie na pogardę dla naszego rozumu, konsekwencją jest poniżenie naszej godności i ubezwłasnowolnienie.

Znachorów duchowych wszelkich opcji nie należy jednak potępiać, gdyż są oni tylko najwrażliwszymi przedstawicielami trapiących nas dolegliwości.

Psychiatrzy Antoni Kępiński i Kazimierz Dąbrowski widzieli i opisywali w psychice Polaków cechy rodzące problemy. Żaden z nich nie sformułował jednak metody naprawy tych ułomności, a nie sposób nie zgodzić się – przynajmniej w tej sprawie – z niemiłym nam filozofem, że chodzi o to, aby ten świat zmieniać.

Wiele polskich rodzin od mniej więcej XVIII wieku żyło w stanie powracającego zagrożenia. Nasi ojcowie, dziadkowie i pradziadkowie bardzo często mieli niezaspokojone podstawowe potrzeby biologiczne, emocjonalne, a także psychiczne. W skrypcie rodzinnym są zatem również tajemnice, o których głośno się nie mówi. Przez przeważającą część tego czasu byliśmy narodem podbitym i wielokrotnie pobitym.

Największą więc tajemnicą polskiej duszy jest niskie poczucie własnej, narodowej wartości. Tajemnicą zepchniętą do podświadomości i przekazywaną w ukrytym skrypcie. Niskie poczucie wartości narodowej i mała wiara w siebie są kompensowane poszukiwaniem dowodów własnej wyższości. Do tego właśnie próbujemy wykorzystywać ideologie, które w zamierzeniu mają być terapiami polskiej duszy: mesjanizm, nacjonalizm, samoponiżanie, masochizm, europejskość i kontemplację historii.

Jednym ze świadectw niskiego poczucia własnej wartości jest uzasadnianie konieczności wprowadzania w Polsce różnych reform czy rozwiązań nie ich praktyczną i ekonomiczną przydatnością, lecz tym, że zostały one wprowadzone w jakichś rozwiniętych krajach świata. To poniżające, jak wielu przywódców mojego kraju i dziennikarzy ma tak niską samoocenę, że opinie innych są ważniejsze niż ich własne uzasadnienie rozumowe.

DUCHOWE MATERIAŁY BUDOWLANE

Jak więc mam stać się Polakiem dumnym? Bez pychy. Bez urojeń. Bez roszczeń. Jak odbudować w sobie zdrowe poczucie wartości narodowej?

Skuteczna terapia może być tylko autoterapią zgodną z zaleceniami sformułowanymi w przypowieści o belce we własnym oku, albo – co na jedno wychodzi – z zaleceniami współczesnej psychoterapii. Potrzebne są również działania w domenie publicznej i działania w obrębie rodzin.

Terapia wewnętrzna jest indywidualną autoanalizą naszego myślenia i ostatecznie polega na budowaniu z odpowiednich materiałów poczucia własnej wartości. Tymi materiałami są mechanizmy psychiczne i postawy duchowe. Do najważniejszych należą odpowiedzialność, odwaga, samoświadomość, samoakceptacja, celowość i solidarność. Gdy zostaną one przyjęte, to w miarę ich rozwoju i wzmacniania stopniowo zastępować będą dotychczasowe, skryptowe mechanizmy kompensacyjne. I stopniowo zmieniać będą nasze przeznaczenie.

Pierwszy materiał budujący własną wartość to odpowiedzialność. Jest taki moment, w którym może otworzyć się przed każdym z nas Brama Wolności. Staje się tak, gdy źródła spotykających nas nieszczęść zaczynamy dostrzegać w sobie. I tylko w sobie. Dopiero wtedy mogę zadać pytanie: „Co powinienem zrobić inaczej, żeby nasi przeciwnicy nie zdołali nam

zaszkodzić?” – i sobie na nie odpowiedzieć. Najkrótsza historia drugiej wojny światowej brzmi całkowicie banalnie: Niemcy i Rosjanie napadli na nas, bo wiedzieli, że jesteśmy słabi i przegramy. My też wiedzieliśmy, że mamy za mało żołnierzy, za mało czołgów, za mało armat, za mało samolotów, ale nie chcieliśmy jako naród wyłożyć na to odpowiedniej ilości pieniędzy. I dlatego przegraliśmy. Najkrótsza historia odsieczy wiedeńskiej z kolei brzmi: byliśmy silniejsi.

Dopóki nie nauczymy się brać odpowiedzialności zarówno za naszą siłę, jak i za słabość, dopóty będziemy ofiarami. Możemy sobie oczywiście wyobrażać, że godnymi pożałowania i współczucia ze strony całego świata. Dopowiedzmy jednak, że w takim zakresie jak każde inne kalectwo czy ograniczenie umysłowe. Czy w dalszym ciągu w rywalizacji narodów chcemy ubiegać się o laury w grupie „Szlachetni niepełnosprawni i opóźnieni”? Wzięcie świadomej, wewnętrznej odpowiedzialności przed samym sobą za wszystko, co spotyka mnie, a także mój naród – złego i dobrego – oznacza uzyskanie dostępu do niezwykłego źródła indywidualnej mocy i podmiotowości.

My, Naród Polski, odpowiadamy za katastrofę smoleńską. My, Naród Polski, nie umieliśmy stworzyć odpowiednich struktur zapewniających bezpieczeństwo. My – a nie jacyś „oni”. To my przez ostatnich dwadzieścia lat wybieraliśmy przedstawicieli z takimi, a nie innymi umiejętnościami przewidywania, tworzenia organizacji i procedur oraz z takim, a nie innym po-

ziomem inteligencji. Małymi i niskim. To straszne, ale jestem jednym z tych, którzy odpowiadają za śmierć prezydenta, całego dowództwa naszej armii i wszystkich tych, co zginęli. Piszę o rzeczy oczywistej, której większość Polaków nie dostrzega, ale dostrzegają ją wszyscy na świecie. Nie wierzycie? To zapytajcie.

Cechą neurotyczną jest przekonanie, że samo nasze pragnienie, bez żadnego wysiłku z naszej strony, prowadzi do zaspokojenia przez innych naszych oczekiwań. Karen Horney mówi: neurotyk może być przekonany, że „nie może się zdarzyć to, co się zdarzyć nie powinno”⁶.

Kolejny materiał budowlany poczucia własnej wartości to odwaga, która jest przede wszystkim odwagą zaufania własnemu rozumowi. Umożliwia odkrywanie własnych ograniczeń intelektualnych. Daje energię do obrony rzeczywistych praw osiągnięcia pożądaných efektów własną pracą przez jednostki i zbiorowości.

Celem samoświadomości jest dostrzeżenie własnych ukrytych schematów myślowych oraz mechanizmów i dążeń działających w nas potajemnie. Im silniejsze emocje, tym silniejsze przekonanie o własnej słuszności i tym trudniejsze zrozumienie tego, co nami kieruje. Najgorsze jest to, że przychodzi nam się zmierzyć z wrogiem, co do którego sądzimy, że nie istnieje.

⁶ K. Horney, *Nerwica a rozwój człowieka*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1978, s. 103.

Aby odkrycie skryptowego dążenia neurotycznego miało charakter wyzwalający, musi zostać zrozumiane i zaakceptowane. Nie wolno mu zaprzeczać. Nieskuteczne będą jakiegokolwiek postanowienia o rezygnacji z takiego dążenia. Zmiana, i to powolna, następuje tylko w świetle rozumu, świadomości i akceptacji istnienia danej potrzeby. Tylko świadomy rozum może szukać lepszego mechanizmu psychicznego i powoli, bardzo powoli, zastępować nim mechanizm neurotyczny. Nie chodzi o to, abyśmy postanowili się zmienić. Możemy tylko poszerzać swoją świadomość. Samopoznanie i samoakceptacja są środkami do wzmacniania poczucia swojej wartości oraz metodami odblokowywania i uruchamiania naturalnego rozwoju jednostki. Porzucanie życia w ułudzie jest procesem powolnym.

Następną ważną cechą budującą własną, indywidualną wartość jest umiejętność podejmowania wyłącznie działań celowych. Najważniejszym językiem, którego powinien uczyć się każdy Polak, nie jest język angielski, lecz język kupiecki. Trzeba nauczyć się myśleć i mówić o sprawach narodowych i państwowych po kupiecku. Zapyta ktoś: „A imponderabilia?”. Odpowiem: pluje na te imponderabilia, które szkodzą Polakom i Polsce. Trzeba mieć odwagę ją czuć i nie wstydzić się tej wyższości, jaką żywi mają nad umarłymi. Lepiej mieć osobowość, która ma pieniądze, niż osobowość ofiary z jej poczuciem wyższości. Zazwyczaj rozpaczliwie urojonym. Naród składający się

z osobowości pierwszego typu kupi sobie tyle tarcz rakietowych, samolotów, czołgów i tylu agentów, ile potrzebuje dla własnego bezpieczeństwa. Naród zdominowany przez typ drugi będzie się musiał komuś przymilać. Przymilanie i inne tego typu wysiłki prowadzą do dalszej utraty godności i dalszego obniżenia poczucia własnej wartości.

Solidarność to także budulec naszej wartości. To postawa odrzucająca nienawiść i pogardę wobec innych Polaków. Indywidualne nastawienie, które powinno prowadzić do traktowania wszystkich współobywateli – także tych, którzy błędzą i się mylą – jak członków rodziny. Tylko poczucie solidarności umożliwia budowanie wspólnoty ideowo-kulturowo-historycznej ufundowanej na wspólnocie celów ekonomicznych. Takie wewnętrzne poczucie solidarności wzmacnia dobrą ocenę własnej przynależności narodowej.

To, o czym piszę, jest trudne do wykonania, bo to indywidualne zadania dla każdego, kto czuje się Polakiem. Tego nie da się zrobić razem, wspólnym wysiłkiem, ani razem udawać, że się coś w tym kierunku robi.

ZDROWE ŻYWIENIE DUSZY

O zdrowiu polskiej duszy decyduje także to, czym jest karmiona. Zdrowe jej żywienie powinno być więc priorytetem. By żyć, narody muszą zachować pamięć o przeszłości, ale siłę mogą czerpać tylko

z pamięci o swoich zwycięstwach. To, że próbujemy czerpać ją z klęsk, nie wynika z niskiej inteligencji, lecz z tego, że kieruje nami skrypt, czyli nieświadome cele neurotyczne, które spowalniają inteligencję. W najważniejszych miejscach przestrzeni publicznej potrzebujemy symboli sukcesów i zwycięstw. Z tego też powodu przed Pałacem Prezydenckim nie powinien stać pomnik ofiar katastrofy smoleńskiej. Decyzje o budowie pomników należy podejmować nie ze łzami w oczach, lecz z namysłem. Miejscem klęsk jest cmentarz. Miejsce przed siedzibą najwyższego reprezentanta państwa polskiego trzeba pozostawić na pomnik dla tych Polaków, którzy – gdyby zaszła taka potrzeba – strącą samolot z prezydentem i dowództwem armii wrogiego nam państwa. Może tam stanąć ewentualnie pomnik na cześć twórców polskiego przemysłu podbijającego świat, albo poświęcony tym Polakom, którzy odkryją, jak to zrobić, aby ich rodakom chciało się działać wspólnie na rzecz wspólnego dobra, albo tym, którzy odważyli się myśleć.

Z podobnych powodów nie należy protestować przeciwko budowie w Berlinie Muzeum Wypędzonych. Istnienie takiego muzeum będzie dla społeczeństwa niemieckiego czytelnym komunikatem o olbrzymiej sile edukacyjnej: „Nie napadajmy więcej na Polaków, bo nas znowu przepędzą”. Najlepiej, gdyby takie muzeum stało na rogu ulic Obrońców Monte Cassino i Bohaterów Stalingradu.

Z punktu widzenia wrogów czy też tylko konkurujących z nami innych narodów korzystne jest, kiedy Polacy pielęgnują w sobie świadomość bycia ofiarą, świętują klęski, dużo się modlą w oczekiwaniu na cud i jeśli już organizują jakąś krucjatę, to jest to Krucjata Różańcowa. Świadomość i podświadomość ofiary w sposób zdecydowany osłabia nasz potencjał konkurencyjności i możliwości osiągnięcia sukcesów. Jeśli chlubimy się tym, że jesteśmy ofiarami, to nasi przeciwnicy oczekują, że w dalszym ciągu będziemy występować w takiej roli. Skrypt, jaki wciąż posiada większość z nas, dobrze służy naszym wrogom, a także narodom z nami współzawodniczącym. Kontynuacja realizacji tego skryptu, naszego testamentu, naszego przeznaczenia spowoduje, że to znowu oni, a nie my, odniosą sukcesy i zwycięstwa.

Narodowość łatwo pomylić z folklorem. I łatwo możemy stać się sympatycznymi Indianami Europy. Są na świecie tacy, którzy chętnie pomogą nam stworzyć Rezerwat Polski, w którym będziemy do woli deklamować patriotyczne wiersze i świętować rocznice klęsk. Pycha Fryderyka II, nazywającego nas Irokezami, nie była całkowicie pozbawiona podstaw.

Zarządzanie polskim zbiorowym skryptem, podejmowane zarówno przez podmioty zewnętrzne, jak i wewnętrzne, jest zarządzaniem naszymi nieświadomymi emocjami, a w konsekwencji jest zarządzaniem naszym losem. Polityka emocjonalna staje się więc straszliwym narzędziem wpływu. Polityka

historyczna to tylko jej teatralna maska. Potrzebujemy polityki historycznej, ale nie jako maski emocji i skryptu, lecz jako manifestacji naszego rozumu i interesu narodowego. Ratunek jest tylko jeden – samoświadomość i ekonomiczna kalkulacja.

Zdeterminowanie historii narodu przez nieświadome dążenia nie dotyczy tylko Polaków. Taki właśnie mechanizm miał zapewne na myśli Napoleon, tłumacząc Goethemu, że polityka jest zrządzeniem losu, na które nie mamy większego wpływu. Ale chyba jednak możemy mieć.

W momencie uświadomienia sobie błędnych wyobrażeń o wspólnocie, do której należę, potrzebny jest mi kontrapunkt – wiedza o rzeczywistych osiągnięciach tej wspólnoty i jej przedstawicieli. Co my wiemy o Polakach?⁷

Jesteśmy podobni do innych narodów. Jesteśmy zwykli. Jesteśmy w porządku. Wygraliśmy dziesiątki bitew. Potrafimy być w boju odważni, sprytni, bezwzględni, skuteczni i okrutni. Zdarzało się, że z zabitych przez nas na polu walki wrogów wypływało tak dużo krwi, że jeśli była w pobliżu rzeka, to zmieniała kolor na purpurowy. Czasem były to duże rzeki. Liczba osiągnięć Polaków w różnych dziedzinach jest przyzwoita w stosunku do wielkości populacji. To Polak wynalazł kamerę, to Polak skroplił powietrze, sformułował doktrynę prawa narodów, wymyślił

⁷ B. Orłowski, *Polacy świata*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1987.

sposób hodowania dużych kryształów metali będących podstawą przemysłu elektronicznego, odkrył pierwszą witaminę i stworzył naukę o witaminach. To Polak opracował pierwszy topograficzny atlas Księżyca, to Polak wymyślił rakietę wielostopniową, stworzył teorię jednolitego systemu miar, skonstruował wycieraczki do samochodu, odkrył potrójny ruch Ziemi. To Polak stworzył przemysł naftowy, zbudował pierwszy na świecie system telefonii automatycznej, zbudował pierwszy samolot, wynalazł świetlówkę, niebieski laser i kamizelkę kuloodporną...⁸

To jest prawdziwa wartość. Tylko to się liczy. Czy znamy te nazwiska? Czy znasz ich nazwiska?

Warto sięgać do wiedzy o osiągnięciach Polaków. Wszystkich ich łączy pracowitość, no ale kto w Polsce lubi czytać o pracowitości? Ciekawiej jest o krwi i trupach. I kto umie w Polsce pisać ciekawie o pracowitości?

Jeśli sami w sobie nie zbudujemy świadomości tego, co jest prawdziwą i rzeczywistą naszą wartością, to inne narody w naszą wartość nie uwierzą.

Próby przełamania własnego charakteru czy dążeń neurotycznych nigdy nie prowadzą do stuprocentowego sukcesu. Nawet jednak niewielkie zmiany w kierunku racjonalności mogą zmienić nasze przeznaczenie.

Przed każdym z nas stoi bardzo ważne zadanie do wykonania, żeby nie przekazać tego fatum, tych

⁸ M. Borucki, *Wielcy zapomniani Polacy, którzy zmienili świat*, Muza SA, Warszawa 2015.

cech i tego skryptu następnym pokoleniom. Autoterapia wznosząca solidną budowlę uzasadnionego poczucia narodowej wartości i zdrowe odżywianie duszy polskiej to jedyna droga do tego celu.

Żeby mogła zwyciężać grupa, zdolność zwyciężania muszą mieć jednostki. Żeby Naród Polski miał zdrowe poczucie własnej wartości, każdy Polak powinien osiągnąć jakiś sukces. Chcesz być polskim patriotą? Osiągnij sukces. Jakikolwiek, który sprawi ci przyjemność. I pokaż swoim dzieciom i wnukom, jak to się robi. Przykład czyni cuda. Żeby oczekiwały i wierzyły, że ich wysiłek, praca i wiedza połączone z rozumną kalkulacją doprowadzą je do sukcesu.

Dzieci nasze i wnuki powinniśmy uczyć modlitwy o to, aby historia naszego narodu przestała być historią literacką, a stała się historią gospodarczą. Żeby za młodu szeptały żarliwie i skrycie modlitwę o zwycięstwach i sukcesach przeżycie.

Da się pokonać przeznaczenie. Da się odmienić swój los. Da się zbudować zdrowe poczucie prawdziwej, własnej, narodowej wartości.

Tak więc psychologia może być pomocna w życiu narodu, nie należy zaniedbywać nauki o duszy.

Co my, polscy obywatele,
możemy zrobić
dla pojednania narodowego
i zbudowania zgody społecznej?

*O czymże myśli Polska i we dnie, i w nocy?
– O ziarenku spokoju. Domowi prorocy
jak żaby chórem trąbią, czekając, czy rychło
gorączka ich oddechu obali Jerycho –
żądadają spustoszenia...
Przenosząc się w krzykach
nie słyszą, że się ziemia pod nami umyka
że wszystko jak dmuchawiec.
Niby deszcz piaskowy
spada na nas zmęczenie. Ledwie gdzie się dźwiga
z skorupy jałowizny zielona łodyga
– a i tę zatratują. Bo kogo obejdzie
czy po tych bojach co na ziemi wzejdzie...¹*

Ernest Bryll, [***]

Od początku XXI wieku dyskusja polityczna w Polsce praktycznie nie istnieje, a to, co jest jej pozorem, faktycznie stało się bezwzględną walką, prowadzoną

¹ Wiersz pochodzi z tomu: E. Bryll, *Dramaty i wiersze*, Tower Press, Gdańsk 2000, s. 106.

za pomocą języka. Przy czym jej celem nie jest szukanie prawdy i racjonalności, lecz zdyskredytowanie oponenta. Język stał się środkiem przymusu i przemocy, często gwałtownej i brutalnej, a nie środkiem rozumienia i porozumienia. Prowadzi to do rozpadu więzi społecznych i rozbijania wspólnoty narodowej, szkodliwych dla naszej przyszłości jako społeczeństwa i państwa.

Skala zdeformowania debaty publicznej przez rozmaite techniki manipulowania emocjami społecznymi, wynikające z pogardy i wzajemnej, partyjnej nienawiści, jest zatrważająca. Większość uczestników wystąpień politycznych szuka tylko okazji, by wygłosić jakąś skandaliczną, antagonizującą opinię, która trafi do mediów i zmobilizuje „naszych” przeciwko „wrogom”.

Dzieje się tak na każdym poziomie życia publicznego: parlamentarnym, dziennikarsko-publicystycznym czy mediów społecznościowych. Nie ma polityki racjonalnej, jest tylko polityka emocjonalna.

Ten stan rzeczy przekłada się w oczywisty sposób na relacje międzyludzkie i wspólnotowe. Dezintegracja oparta na złych, prymitywnych i niskich uczuciach w dłuższej perspektywie służy wyłącznie przeciwnikom Polski.

Co czeka nas na końcu tej drogi? Czy będziemy jeszcze w stanie zjednoczyć się jako społeczeństwo i naród? Czy zmiany, jakie w tych okolicznościach dokonają się w nas samych, będą możliwe do cofnięcia?

Pytanie, czy i co my obywatele możemy zrobić, aby ten stan odmienić, zadałem wybranym osobom myślącym z troską o sprawach polskich w ankiecie Fundacji im. Zygmunta Starego. Celem było zainicjowanie dyskusji dotyczącej pozytywnych i konstruktywnych działań obywatelskich zmierzających do przewyciężenia istniejącego, emocjonalnego podziału. Działania, które powinny być prowadzone nie przeciw komuś, lecz na rzecz integracji i dobra wspólnego. Na rzecz budowy polskiej wspólnoty obywatelskiej i społecznej, w której zasady demokratyczne i wolność słowa umożliwiają ścieranie się poglądów, ale nie prowadzą do nienawiści i pogardy.

Chodzi o przywrócenie dialogowi społecznemu należnej mu rangi i racjonalnego poziomu, stworzenie przestrzeni, w której różnica zdań i nawet ostre starcie są próbą poszukiwania zrozumienia otaczającego nas świata i ludzi, a nie okazją do poniżania i niszczenia inaczej myślących. Poszukiwanie sposobów porozumiewania się w imię tego, co jest dobrem wspólnym.

Szacowni respondenci odpowiadali wprawdzie w rozmaity sposób, niemniej zaznaczył się wśród nich zasadniczy podział na tych, którzy do kwestii narodowego pojednania podeszli ze szlachetnym przekonaniem, że jest ono możliwe, oraz na tych, którzy powątpiewają w takowe całkowicie.

Ci drudzy, spoglądając na rzeczywistość chłodnym i trzeźwym okiem lub może nawet z pewnym

zgorzknieniem, wydają się w swoich sądach bardziej różnicowani. Część z nich szczerze boleje bowiem nad faktem, że dla narodowego pojednania wiele zrobić się nie da, podczas gdy inni w ogóle kwestionują sens takiego zbratania, wskazując na wynikającą z konfliktu wartość i tym samym okazując się finalnie największymi z optymistów.

Tak zdecydowany pogląd nie jest jednak licznie reprezentowany. Jego głównym zwolennikiem pozostaje profesor Jan Woleński, stwierdzający, że rozdzierający polską scenę polityczną spór nie tylko nie jest szkodliwy, ale też należy w nim widzieć pewnego rodzaju gwarancję „zdrowia społecznego”. Woleński postrzega każdą partię aktualnie rządzącą jako tę, po której stronie leży odpowiedzialność za zapobieganie eskalacji konfliktu. Można się domyślać, że profesor pragnie uniknąć wymknięcia się tego konfliktu poza wyznaczone politycznie ramy, w samym sporze nie widząc niczego złego.

Również profesor Roman Kochnowski sądzi, że konflikt nie jest jakąś szczególną polską specjalnością i wskazuje kraje uważane powszechnie za cywilizowane, które stanowią arenę zdarzeń znacznie bardziej gorszących. Sama walka polityczna, nawet brutalna i pozbawiona wszelkich hamulców, jest zatem według niego w świecie demokratycznym czymś całkowicie naturalnym.

Licniejsza jednak grupa respondentów utrzymuje, że toczący Polskę polityczno-medialny spór jest

zdecydowanie szkodliwy, ale naiwnością byłoby twierdzić, że w jakikolwiek sposób można go zażegnać. Ta grupa ankietowanych utrzymuje, że albo istniejący konflikt wynika z wyrachowania i skoro przynosi stronom realne korzyści, nikomu nie opłaca się go przerywać, albo też towarzyszące mu emocje są już zbyt silne, by można było myśleć o pojednaniu.

Tomasz Cukiernik nie waha się nazywać Polaków „pożytecznymi idiotami”, którzy spierają się w interesie obcych mocarstw. O żadnym narodowym zbrataniu nie może więc być mowy, skoro spór umiejętnie podsycają siły zewnętrzne. Profesorka Hanna Kowalska-Strus uważa polsko-polskie utarczki wręcz za drugorzędne, skoro decyzje podejmowane są zupełnie gdzie indziej. Stanisław Remuszko boleje wprawdzie nad podziałem wśród Polaków, ale wskazuje znów na opłacalność konfliktu, nie dając więcej nadziei od innych. W tej optyce wewnątrzpolskie porachunki jawią się jako wielka „ustawka”, w której kluby parlamentarne tym tylko różnią się od piłkarskich, że działają na pokaz, z wyrachowaniem angażując spragnionych bardziej igrzysk niż chleba „maluczkich”. Gwałtowny spór ma zatem tworzyć zasłonę dymną, dość naturalne emocje wpuszczając w przygotowane uprzednio koleiny i podsycając je na tyle, by nie znalazły ujścia „poza systemem”.

Pesymistą jest również Wojciech Stanisławski, który – w przeciwieństwie do wielu innych – uznając polityczne swary za autentyczne, wzorem *Pana*

Tadeusza możliwość pojednania upatruje jedynie w poważnym zagrożeniu zewnętrznym, ale doceniając siłę targających Polakami emocji, lęka się o to, jak wielka musiałaby być skala owego zagrożenia. Podobnego zdania jest Krzysztof Janicki, który z właściwą sobie swadą i humorem stwierdza, że Polaków zjednoczyć może tylko obcy najazd, należy zatem takowy jak najrychlej sprowokować, niczego przy tym nie zaniedbując. Ale zaraz z równie trzeźwym sarkazmem reflektuje się, że nawet sienkiewiczowski „nieprzyjaciel w granicach” wcale nie musi być przecież skutecznym remedium na wewnątrzpolskie swary, jako że część Polaków może zechcieć przyłączyć się do agresora, byle tylko postawić na swoim i nie iść ręką w rękę z „wrażym” obozem.

Jerzy Surdykowski natomiast jest zwolennikiem tezy o „narastaniu walki partyjnej wraz z budową demokracji”. Stroniąc zarówno od napuszonych, rejtanowskich gestów, jak i banalnego mickiewiczowskiego wezwania „Kochajmy się!”, zwraca uwagę na zawłaszczanie państwa przez dominującą aktualnie partię, które to zawłaszczanie pogłębia się wraz z kolejnymi rządzącymi ekipami. Należy się zatem spodziewać, że będzie tylko gorzej. Bezkarność powoduje bowiem ciągłe przesuwanie granic zuchwałej bezczelności, a w rezultacie postępującą atomizację społeczeństwa, coraz bardziej uwikłanego w partyjno-plemienne wojny, przypominające mafijne porachunki. Co najciekawsze, ponure proroctwa

Surdykowskiego nie są wystarczającym powodem, by stracił on wiarę w demokrację jako taką – sprzeciwia się jedynie jej „wypaczeniom”. Niemniej nawet takie silne ideowe umocowanie nie pozwala mu karmić się jakimikolwiek złudzeniami.

Inni respondenci podchodzą do tytułowego zagadnienia z większą dozą optymizmu, utrzymując, że wewnątrzpolski antagonizm da się przerwać, a przynajmniej załagodzić.

Według większości z nich szansą na to mają być próby dialogu oraz zmiana w przestrzeni retoryki z języka wojennego na język pokojowy, a przynajmniej na język sporu cywilizowanego i uczciwego. Diagnozy Wiesława Hołdysa dotyczące języka używanego w tak zwanej debacie publicznej wykraczają zresztą poza to, co odnosi się do samego konfliktu polsko-polskiego. Anglicyzmy, wulgaryzmy, pełne patetycznej przesady lub nadmiernej egzaltacji wyrażenia i powielane po wielokroć niezręczne zwroty nie tylko zaśmiejają język polski, ale i odbijają się na jakości każdej debaty. Zmiana w tej materii może więc nieść z sobą szansę sanacji na wielu płaszczyznach. Podobnie profesor Walery Pisarek, przyznając się do bezradności względem istniejącego konfliktu i niezdolności do wypracowania nań niezawodnej recepty, żywi nieśmiałą nadzieję, że rezygnacja z języka obmowy może przynieść pewne efekty.

Książd Wit Pasierbek zwraca uwagę na problem niepojmowania tych samych terminów w taki sam

sposób. Wyjaśnienie ich znaczenia przez obie strony doprowadzi według niego do odkrycia, że spór istniał wyłącznie na poziomie językowym. Samo pojednanie musi być jednak zdaniem jezuity oparte na niewzruszonych wartościach, wyłączając z przestrzeni sporu narodową tradycję, prawo naturalne, chrześcijańskie wartości i własną historię, a pozostawiając miejsce jedynie na ich różnorodną interpretację.

Recepta dominikanina Wojciecha Jędrzejewskiego na polsko-polski spór wyróżnia się swoją konkretnością. Duchowny proponuje najpierw stworzyć listę pozytywnych rzeczy, jakie powiedzieć można o przeciwnym obozie, następnie listę elementów przez siebie nieakceptowanych, uwzględniającą jednak domniemane dobre intencje oponenta, a dopiero na samym końcu spis zarzutów. Te trzy listy Jędrzejewski proponuje przełożyć później na dyskusję, rozpoczynając się analogicznie od pochwał dla rywala, następnie przechodzącą do dobrych słów o jego intencjach i dopiero na sam koniec pozostawiając to, czego nie da się w nim zaakceptować.

Krzysztof Mazur uważa natomiast, że obcość i wrogość wynikają z sekciarskiego zamykania się w świecie konkretnych środowisk i mediów, uparcie i niezależnie od wydarzeń podtrzymujących przeświadczenie o słuszności własnych poglądów, a skutecznie filtrujących wszystko to, co może owo przekonanie zakłócić. Dowodzi zatem, że już samo bezpośrednie spotkanie z prawdziwym oponentem, a nie jego

wykoślawionym obrazem, może stanowić skuteczną odtrutkę na nienawiść i uprzedzenia, a zatem przybliżyć do upragnionego pojednania.

Potrzebę dialogu akcentuje również Stanisław Remuszko, wskazując na buberowskie spotkanie i pozbawioną nienawiści rozmowę jako absolutną podstawę drogi ku porozumieniu. Sam jest mimo wszystko ostrożny w swoich nadziejach, podkreślając, że wpływ szeregowego obywatela na polityczno-medialną rzeczywistość jest – mówiąc dyplomatycznie – mocno ograniczony.

Edward Nowak nie jest wprawdzie w pełni przekonany o skuteczności jakichkolwiek zabiegów, wskazuje wszakże na ważną rolę potencjalnych przynajmniej mediatorów – Kościoła katolickiego, intelektualistów i z konieczności zmuszonych do dialogu w różnych kwestiach samorządowców. Inaczej jednak niż ksiądz Pasierbek, odwołujący się do fundamentalnych wartości, zastrzega, że tego typu próby nie mogą być oparte na żadnej wyraźnej podstawie ideowej, inaczej poniosą fiasko, którego widmo i bez tego jest wystarczająco realne. Zachowawczość Nowaka jest zresztą więcej niż zasadna, zwłaszcza że od czasu przeprowadzenia ankiety również przedstawiciele Kościoła i środowisk twórczych wielokrotnie zabierali stronniczy głos w drażliwych kwestiach, a partie polityczne nierzadko właśnie kler i intelektualistów próbują wikłać w swoje walki, albo obierając sobie te grupy za dogodny cel

ataku, albo rozmaitymi posunięciami próbując uzależnić je od siebie i zaprzęgnąć do własnego bojowego rydwanu, a w konsekwencji uczynić pewnego rodzaju „piorunochronem”.

Profesor Kazimierz Dadak i Mikołaj Pisarski przywołują wzorce amerykańskie, wskazując je jako modelowe dla rozwiązywania konfliktów, opierają się bowiem na imperatywie wypracowywania kompromisu. Fundamentem tej postawy jest poczucie interesu wspólnego i interesu własnego oraz świadomość, że te realnie ucierpią, jeśli nie zrezygnuje się z wzajemnego obrażania. Na taką pragmatyczną „mentalność kupiecką” zwraca uwagę profesor Dadak, sugerując, że Polacy powinni uczyć się od Amerykanów unikania niepotrzebnych konfliktów, szkodliwych zarówno na poziomie wspólnoty, jak i indywidualnych relacji. Decyzja o wejściu w ostry spór jest bowiem o tyle długoterminowo „nieopłacalna”, że pozbawia nas – na własne życzenie – potencjalnych aliantów i partnerów. Narodowe pojednanie zależy więc od chęci dialogu między zwykłymi Polakami dla wspólnej korzyści i w oderwaniu od sporów klasy politycznej, która przez konflikt realizuje wyłącznie własne interesy, zwykle krótkoterminowe, dalekie od interesów narodowych czy obywatelskich. Pisarski natomiast za motto obiera słowa Thomasa Jeffersona, który „różnicy w poglądach na politykę, religię czy filozofię nigdy nie uznawał za powód wystarczający do zerwania przyjaźni”.

Również Jerzy Zelnik twierdzi, że pojednanie Polaków jest całkiem realne, pod warunkiem że ludzie kultury i nauki działać będą na rzecz dobra publicznego, nie oglądając się na klasę polityczną i jej umocowane w społeczeństwie ekspozytury. Polacy nie mają zatem godzić polityków, ale godzić się między sobą wbrew nim, pozostawiając rządzących samotnie ze stworzonymi przez nich problemami. Z kolei Józef Baran zwraca uwagę na brak jakiegokolwiek oferty dla tych, którzy ani nie chcą wyrzekać się polskości w imię idei „postępowo-europejskiej”, ani brnąć w sfery martyrologiczno-mesjańskie, bieżący konflikt jest dla nich zatem czymś całkowicie obcym. W przeciwieństwie jednak do Zelnika wyraźnie odczuwa jego złowrogi wpływ na Polaków, a owa niemożność wyzwolenia się z zakłętego kręgu samozwańczych „patriotów” i „europejczyków” rodzi u niego poczucie dojmującej bezradności.

Oddolny dialog i pozytywistyczna „praca u podstaw” stanowią absolutną *idée fixe* profesora Jerzego Vetulaniego. Wskazuje on, że problemem są jedynie grupy funkcjonujące mentalnie na poziomie plemion i sekt, odporne na wszelką argumentację, trwające w zakłętym kręgu oklaskiwanych przez siebie poglądów i autorytetów, natomiast każdy, kto do nich nie należy, może być potencjalnym heroldem narodowego pojednania. Sama różnica poglądów, nawet bardzo wyrazista, nie oznacza bowiem dla dialogu żadnej przeszkody. Kluczowe jest zatem kształtowanie

pewnej inteligencji emocjonalnej, nauka empatii i budowanie wspólnoty wokół określonych wartości. Za pozytywne przykłady Vetulani uznaje harcerstwo, Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy i – z pewnymi zastrzeżeniami – Kościół. Znowu jest więc dialog z pominięciem polityków i ich klakierów.

Poza ulubionym przez większych i mniejszych optymistów dialogowaniem ankietowani wskazywali i inne drogi, które mogą prowadzić do upragnionego pojednania. Ryszard Bocian utrzymuje, że platformą porozumienia może się stać konsekwentne przypomnienie o zbrodniach na narodzie polskim dokonanych przez ukraińskich nacjonalistów, budując wokół bestialsko zamordowanych ofiar ogólnopolską wspólnotę pamięci, przypominającą dość skuteczne tworzenie współczesnej żydowskiej tożsamości wokół pamięci o Szoah. Twierdzi nawet, że w sprawie zbrodni wołyńskiej istnieje już jakoby konsensus. Jest to jednak znowu głównie kwestia czasu, w jakim przeprowadzana była ankieta, gdy z różnych przyczyn polski sejm przegłosował uchwałę oddającą część pomordowanym przez OUN-UPA. W rzeczywistości za normę i zgola prawdziwy konsensus uznać należy raczej przemilczanie tej kwestii przez klasę polityczną. Jest to więc sztandarowy przykład, jak szybko pewne pomysły na zażegnanie sporu mogą się dezaktualizować.

Tadeusz Kensy proponuje rozwiązanie kompleksowe, sugerując – jak się zdaje – że żaden z należących

doń czynników nie zadziała z osobna. Apeluje, by zakończyć licytację na „patriotyczną patriotyczność”, a w zamian skupić się na wypracowaniu takiej tradycji, która byłaby wspólna dla prawie każdego Polaka. Wskazuje na potrzebę uświadomienia sobie „polityczności” polityki i odrzucenia odurzającego mamidla w postaci „społeczeństwa obywatelskiego” rozumianego jako konstrukt „niepolityczny”. W końcu akcentuje potrzebę zmian ustrojowych i upartego domagania się od polityków takich rozwiązań, które umożliwiłyby wybór choćby niepartyjnego prezydenta.

Niektórzy uczestnicy ankiety skupili się nie tyle na narodowym pojednaniu, ile na diagnozie dotyczącej przyczyn tak zawziętego konfliktu, diagnozie niekiedy dość zaangażowanej politycznie, zatem poniekąd w ów spór się wpisującej. Profesorka Marta Dziedzicka-Wasylewska twierdzi, że wywołała go niezwykle agresja ze strony mediów po objęciu władzy przez Prawo i Sprawiedliwość w 2005 roku, agresja, jaką wciąż wykazują wobec tej partii liczne środki masowego przekazu. Stanisław Remuszko – który wprowadził swoją receptę na pojednanie przedstawił – podkreśla z kolei, że partią konfliktu jest właśnie PiS. Stanowiska te nie muszą się zresztą wcale wykluczać, strona rozpoczynająca zajadłą kłótnię nie musi być przecież tą samą, która później najwytrwalej ją podtrzymuje, a jeśli nawet ktoś pada ofiarą nieuczciwej i niesprowokowanej nagonki, to skuteczny

kontratak może go przekonać o opłacalności brutalnego rewanżyzmu.

Roman Kochnowski przyczynę narastającej agresji widzi w promującym jego zdaniem cwaniactwo neoliberalnym modelu gospodarki, a także w zaznaczającej się w całym świecie zachodnim dominacji lewicowego światopoglądu, którego sekciarstwo oraz przekonanie o swojej nieomyślności oraz ideowej, intelektualnej i moralnej wyższości uniemożliwiają nie tylko jakikolwiek dialog, ale nawet zrozumienie rzeczywistości i właściwą interpretację podstawowych faktów. Marcin Masny zaś jako powód ostrych konfliktów politycznych wskazuje atomizację społeczeństwa, zanik poczucia wspólnoty i brak wspólnych wartości, nieświadomie wspierając dość konkretne postulaty księdza Pasierbka.

Jak wynika z powyższego zestawienia rozmaitych stanowisk, na pytanie: „Co my, polscy obywatele, możemy zrobić dla pojednania narodowego i zbudowania zgody społecznej?” nie ma niestety prostej odpowiedzi. Warto jednak do niego wracać i zadawać je wciąż na nowo, bo pokój jest naszym najsilniejszym sojusznikiem.

Na zakończenie omówienia tej ankiety chciałbym przytoczyć jeszcze słowa Bolesława Prusa, napisane ponad sto lat temu:

Istotny patriotyzm wcale nie potrzebuje walk ani wewnętrznych, ani zewnętrznych z obcymi naroda-

mi. Nienawiści wewnętrzne z powodów religijnych, politycznych czy ekonomicznych są niby gangrena w ludzkim ciele i albo muszą być uleczone, albo doprowadzą do śmierci².

Wskazaniem, które wydaje się pewne, jest odrzucenie przez nas, obywateli dokonujących wyborów, tych polityków, którzy manifestują w swoich działaniach silne uczucia. Tych, którzy nienawidzą, obrażają, poniżają i pogardzają innymi w naszej wspólnej Polsce. Tych, którzy takie uczucia starają się w nas wzbudzać. Szansą na skuteczne poszukiwanie pojednania narodowego i zbudowanie zgody społecznej jest więc odrzucenie polityki emocjonalnej na rzecz polityki racjonalnej.

² B. Prus, *Co to jest patriotyzm?*, „Tygodnik Ilustrowany”, 29 kwietnia 1905, nr 17.

Komentarze bezpartyjne

PO CZYJEJ JESTEM STRONIE?

W *Powidokach* Andrzej Wajda świetnie pokazał mechanizm funkcjonowania komunizmu w Polsce lat 50. XX wieku i metody zaszczuwania ludzi, a także to, na czym polegała demokracja socjalistyczna. Dwukrotnie w filmie powtórzone zostaje pytanie, które doskonale oddaje tamtą atmosferę. Mam poczucie, że narracja, która funkcjonuje od mniej więcej 2005 roku w polskich debatach politycznych, to narracja wymuszająca odpowiedź na to samo pytanie:

„Po czyjej jesteście stronie?”

To w demokracji socjalistycznej było najważniejsze. Chciałbym uczestniczyć w normalnej dyskusji o problemach naszego kraju, o tym, co leży w jego interesie i co dla tego interesu można zrobić. W wielu sprawach byłbym krytyczny w stosunku do działań władzy i w wielu w stosunku do opozycji, licząc na wysłuchanie i uwzględnienie takiej krytyki. Uczestnicy z wszystkich stron sporu uniemożliwiają jednak prowadzenie takiej dyskusji: nienawiścią, pogardą,

zaszczuwaniem i odmawianiem drugiej stronie prawa do istnienia. Uniemożliwiają normalne funkcjonowanie demokracji. I to pytanie „socjalistycznych demokratów”: „Po czyjej jesteś stronie?”. Po czyjej jestem stronie? Na pewno nie po waszej.

POLSKA–ROSJA. ZWYCIĘSTWO GŁUPOTY

W czasie II wojny światowej Niemcy zabili około sześciu milionów obywateli polskich. Około trzech milionów Polaków etnicznych i około trzech milionów obywateli polskich, których uznali za Żydów. Niemcy rozstrzeliwali, gazowali, wieszali, torturowali, robili zastrzyki dosercowe z fenolu, topili dzieci w dołach kloaczkowych. Lista tych zwyrodniałych metod i okrucieństw jest długa.

Rosjanie zamordowali około pół miliona Polaków, nigdy jednak nie zbliżyli się do poziomu zdziczenia naszych zachodnich sąsiadów. Gdyby Rosjanie nie uwolnili Polski od Niemców, ci, zgodnie ze swoim precyzyjnym *Generalplan Ost*, w bestialski sposób zamordowaliby większość Polaków, pozostawiając przy życiu tylko około trzech milionów niewykształconych pracowników fizycznych jako swoją niewolniczą służbę¹. Plan likwidacji narodu polskiego mieli Niemcy, a nie Rosjanie.

¹ C. Madajczyk, *Generalny Plan Wschodni. Zbiór dokumentów, Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce*, Warszawa 1990.

Dzisiaj Niemcy są naszymi sojusznikami i ważnymi partnerami gospodarczymi, a Rosjan uznajemy za wrogów. Dlaczego? Powie ktoś, że Rosjanie odebrali nam niepodległość w 1945 roku i przez 45 lat okupowali nasz kraj. Tak, to prawda, ale oddali nam tę niepodległość w 1990 roku. Nikt o tym w taki sposób nie mówi, ale to jest fakt. Rosja oddała nam niepodległość w 1990 roku za darmo. Nie wygraliśmy z nimi wojny, choć wielu pręży muskuły, jakby tak było. Nie, nie było. Powtórzę: to Rosja oddała nam niepodległość. Ciekawe, jaki mechanizm psychologiczny blokuje możliwość dotarcia tych faktów do świadomości Polaków? Gdyby Polskę okupowali przez 45 lat Niemcy, narodu polskiego by już nie było.

Trudno się więc dziwić, że Rosjanie polską politykę w stosunku do Rosji odbierają jako głupią i niewdzięczną. Niestety reagują na nią również niemądrze. Złośliwości, jętrzenie, groźby, kłamstwa i obrażanie Polaków to stałe elementy wypowiedzi rosyjskich polityków. Zupełnie jakby na Kremlu działała amerykańska agentura wpływu. Wypowiedzi prominentnych polityków rosyjskich, tak jak wiele wypowiedzi prezydenta Putina, umacniają wpływy amerykańskie w Polsce i zaplecze społeczne do ostatecznego przekształcenia Polski w amerykański protektorat wojskowy. Osłabiają jednocześnie tych, którzy woleliby mieć z Rosją dobre kontakty. Czy tego właśnie pragnie Rosja?

Polacy chcieliby być niezależni od wielkich mocarstw, ale przekaz płynący do nas z Rosji wzmacnia tych naszych polityków, którzy bezpieczeństwo Polski widzą w bliskim sojuszu z USA. Sojuszu, co do zasad którego można mieć bardzo poważne zastrzeżenia. Polska polityka zagraniczna miała wstać z kolan, ale jak na razie kuca przy biurku amerykańskiego prezydenta.

Obywatele i Rosji, i Polski politykę otwartości na obustronnie korzystne działania swoich rządów z pewnością przyjęliby z zadowoleniem. Tym bardziej że w osobistych, bezpośrednich kontaktach między nimi sympatia wygrywa z nienawiścią, a biznes z urazami. Zasada mówiąca, że warto mieć dobre relacje z sąsiadami, sprawdza się przecież w dłuższej perspektywie również w stosunkach między państwami. Zwłaszcza we współczesnym świecie. Szukanie partnerów do współpracy daleko, a wrogów blisko, jest zwycięstwem głupoty.

WAŁĘSA

Wzywanie Wałęsy, aby „stanął w prawdzie”, jest bardzo śmieszne i świadczy o poważnie ograniczonej wyobraźni wnioskodawcy. Lub o jakiejś „przebiegłej” taktyce, ale intelektualnie również słabej. Gdyby Wałęsa „stanął w prawdzie” i przyznał się, że był TW w latach siedemdziesiątych, to co by było dalej? Wszyscy przecież zapytalibyśmy go: „Co było da-

lej?”. Kto by uwierzył, że nic, że esbecy nie przyszli i nie napisali dalszego scenariusza? Moment na to, aby „stanąć w prawdzie”, to był dla Wałęsy rok 1980, później, w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, pozostawało mu tylko uczestniczyć w tym spektaklu jako odtwórca jednej z głównych ról. Rolę statysty lub trzeciorzędną łatwo się odrzuca, ale główną? Być przewodniczącym Solidarności, a później prezydentem to było dla niego na pewno bardzo przyjemne zadanie, ale na Boga, przecież nie może opowiedzieć nam o kulisach i Reżyserze. Nigdy. Nie bądźmy naiwni. Gdyby Wałęsa nie grał do końca, aż do dzisiaj... zgodnie z wytycznymi Reżysera, to natychmiast by zniknął. Dobry reżyser, obsadzając zwłaszcza główne role, daje aktorom szerokie możliwości własnej ekspresji. Czasem pozwala im częściowo zmienić scenariusz. Jeśli mają rozdęte ego, to może im się nawet zacząć wydawać, że ograli reżysera. I wtedy powinniśmy im współczuć.

Ostatnia, pośmiertna kombinacja operacyjna generała Czesława Kiszczaka to majstersztyk. Zostawiając teczki dotyczące współpracy Wałęsy z lat siedemdziesiątych, przekonał większość Polaków, że to było wszystko, co można mieć na Wałęsę. No bo skoro u Kiszczaka niczego z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych nie było, to znaczy, że nic nie ma. Przy okazji tej kombinacji operacyjnej Kiszczak mówi nam jeszcze: „Popatrzcie, nie ma nic więcej, nic więcej nie miałem, nikt ze znanych i wpływowych

polityków z lat dziewięćdziesiątych nie był TW i nie miał teczek”. Brawo, Panie Generale! Dotrzymał Pan słowa, że nigdy nikogo nie ujawni. Wbrew pozorom jednak nie piszę tego, żeby atakować Wałęsę. Przełom '89 roku jest korzystny dla Polski i Polaków, choć marzyć o innym przebiegu tej przemiany można. Na przykład o bardziej ewolucyjnej „drodze chińskiej”, która byłaby dla Polaków mniej kosztowna, a dzisiaj dałaby nam zdecydowanie wyższą stopę życiową.

Czy wszystko to, co się wtedy stało, mogło wyglądać inaczej? Nie, nie mogło, bo gdyby mogło, to by wyglądało. Polityka nie jest dla dzieci i nie jest czysta moralnie. Jest albo korzystna, albo niekorzystna. Na czele Solidarności nie mógł stać jakiś – niekontrolowany przez SB – Gwiazda czy Wyszowski, bo by się zaraz na przykład „upił” i „nieszczęśliwie utopił”. Komuna: esbecy i generałowie nie tylko nie byli samobójcami, ale też nie mieli powodu podejmować poważniejszego ryzyka. Można wierzyć oczywiście w coś odwrotnego. Taka konstrukcja świata – nie da się wymyślić niczego takiego, w co by ktoś nie uwierzył. Nawet jeśli wymyślającym jest Wałęsa. Zmiana musiała być zmianą w pełni kontrolowaną, ale była zmianą dla nas korzystną. Szczegółów nie znamy i nie poznamy, scenariusz bez akceptacji Moskwy nie mógłby zostać zrealizowany. Ja nie jestem od Reżysera, żebym wiedział dokładnie i w szczegółach kto, co, jak i kiedy, ale jestem pewny, że.

Rozumiem oburzenie, a nawet ból zębów po wysłuchaniu oświadczenia pani Teresy Kiszczak, że to jej mąż, generał Czesław Kiszczak, obalił w Polsce komunę. Niestety to jest chyba prawda i drugie „niestety”: innej, realnej, a nie śnionej możliwości – nie było nigdy.

Nie dam grosza na pomnik Wałęsy, ale nie będę nim pomiatał. Powtórzę: polityka nie jest dla dzieci, a ludzie, którzy mają pełnię władzy, nie oddają jej za darmo. To się w historii świata po prostu nie zdarzyło.

SPRAWA POMPEO

W lutym 2019 roku w Warszawie na Zamku Królewskim oraz na Stadionie Narodowym odbyła się konferencja z udziałem przedstawicieli dyplomatycznych wielu państw, poświęcona sytuacji geopolitycznej na Bliskim Wschodzie. Stany Zjednoczone reprezentował Sekretarz Stanu Michael „Mike” Richard Pompeo, kierujący Departamentem Stanu, odpowiadającym za politykę zagraniczną USA. W trakcie spotkania M.R. Pompeo naciskał na przedstawicieli rządu Rzeczypospolitej Polskiej, by stworzyli procedurę przekazywania organizacjom żydowskim majątków bezdziedzicznych, które należały do obywateli polskich pochodzenia żydowskiego zamordowanych przez Niemców w czasie II wojny światowej. Oświadczył publicznie:

Wzywam kolegów z Polski, by poczynili postępy w zakresie kompleksowego ustawodawstwa dotyczącego restytucji mienia prywatnego dla osób, które utraciły nieruchomości w dobie Holocaustu. Chcemy również rozwiązać sprawy z przeszłości, dotyczące tego, co wydarzyło się w czasie Holocaustu.

Sekretarz Stanu USA Pompeo w rozmowach z ministrem spraw zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej Jackiem Czaputowiczem i innymi przedstawicielami rządu RP, przez nadużycie stosunku zależności i wykorzystanie krytycznego położenia, usiłował doprowadzić ich do podjęcia działań na rzecz niekorzystnego rozporządzenia mieniem należącym do obywateli polskich lub państwa polskiego. Możliwe więc, że popełnił on przestępstwo stanowiące występki z art. 13 § 1 w związku z art. 286 § 1 Kodeksu karnego.

W sytuacji, w której rząd RP uległby takim naciskom, jakiegokolwiek świadczenie na rzecz organizacji żydowskich byłoby świadczeniem nienależnym, wymuszonym, a jednocześnie niekorzystnym i prowadzącym do pogorszenia kondycji finansów publicznych RP.

Żądanie zgłoszone przez przedstawiciela rządu USA jest sprzeczne z rudymentami prawa prywatnego. Powszechną zasadą prawa spadkowego jest bowiem zasada przejmowania przez jednostki państwowe majątku bezdziejcznego. Próba zanegowania

tej zasady stanowi nie tylko naruszenie art. 931 Kodeksu cywilnego, ale także próbę podważenia porządku prawnego Unii Europejskiej.

Artykuł 33 Rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) nr 650/2012 z dnia 4 lipca 2012 r. w sprawie jurysdykcji, prawa właściwego, uznawania i wykonywania orzeczeń, przyjmowania i wykonywania dokumentów urzędowych dotyczących dziedziczenia oraz w sprawie ustanowienia europejskiego poświadczenia spadkowego potwierdza państwom członkowskim uprawnienie do obejmowania spadków po osobach nieposiadających sukcesorów. W całym cywilizowanym świecie po osobach, które nie zostawiły spadkobierców, nieruchomości przejmują państwa, których te osoby były obywatelami. Przynależność rasowa lub narodowa nie jest podstawą dziedziczenia. Próba przywłaszczenia sobie takich praw przez nawet najbardziej wpływową organizacją w USA jest tylko bezprawną uzurpacją. Dodatkowo trzeba stanowczo podkreślić, że nie wszyscy obywatele polscy, którzy zostali zamordowani z powodu uznania ich za Żydów przez Niemców, musieli być rzeczywiście Żydami. Choćby tylko z tego powodu, że wielu z nich czuło się w pełni Polakami.

Warto przypomnieć, że żyjącym ofiarom Holokaustu i ich spadkobiercom, którzy utracili nieruchomości w czasie Holokaustu, prawo polskie umożliwia odzyskiwanie tych nieruchomości lub rekompensat. Znacząca liczba takich osób skutecznie występowała

ze swoimi roszczeniami do polskich sądów, nie napotykając żadnych przeszkód w zaspokajaniu swoich roszczeń.

Obecny stan prawny nie tylko zabezpiecza interesy jednostek dochodzących wyżej opisanych praw, ale także zabezpiecza status prawny religijnych i kulturalnych instytucji żydowskich. Gminy żydowskie w Polsce odzyskały wszelkie posiadane przed wojną nieruchomości.

Na uwagę i pamięć zasługuje również fakt, że w latach 1948–1971 Polska podpisała umowy indemnizacyjne dotyczące przyznania rekompensat za mienie utracone przez byłych obywateli z 14 państwami: Francją, Szwajcarią, Szwecją, Danią, Wielką Brytanią i Irlandią Północną, Norwegią, Stanami Zjednoczonymi, Belgią, Luksemburgiem, Grecją, Holandią, Austrią i Kanadą. W podanym okresie Polska łącznie wypłaciła z tego tytułu kilkaset milionów dolarów. Istotą owych umów było utworzenie przez rządy wymienionych państw funduszy zabezpieczających przedmiotowe roszczenia i jednocześnie przejęcie wszelkich roszczeń za mienie pozostające w Polsce.

W kontekście, w jakim Michael Pompeo dopuścił się opisanego działania, doszło do realizacji zarówno znamion przedmiotowych, jak i podmiotowych czynu zabronionego określonego w art. 286 § 1 Kodeksu karnego. W tej sytuacji doszło do tak zwanego wyzyskania błędu, które opisuje orzecznictwo

Sądu Najwyższego jako jedną z form popełnienia tego przestępstwa:

Do znamion przestępstwa z art. 286 § 1 k.k. należą trzy oszukańcze sposoby jego popełnienia: wprowadzenie innej osoby w błąd, wyzyskanie błędu, wyzyskanie niezdolności innej osoby do należytego pojmowania przedsiębranego działania. Pierwszy i drugi opiera się na błędzie pokrzywdzonego, którego wyobrażenie o rzeczywistości nie odpowiada faktom w zakresie istotnym dla podjęcia decyzji o określonym rozporządzeniu mieniem (wyr. SN z 2.12.2002 r., IV KKN 135/00).

Ze względu na otwarty katalog podmiotów, które mogą zostać pokrzywdzone wskutek działań określonych w cytowanym przepisie, trzeba zauważyć, że pokrzywdzonym może być nie tylko osoba fizyczna, ale także osoba prawna czy też podmiot prawa międzynarodowego, zatem istnieje możliwość popełnienia tego przestępstwa względem państwa polskiego. W związku z tym, że cytowany przepis określa przestępstwo materialne, do jego popełnienia wystarczy tylko umyślne usiłowanie, do którego doszło w tym właśnie przypadku. Realizacja żądania Sekretarza Stanu USA Pompeo doprowadziłaby do skrajnie niekorzystnego rozporządzenia mieniem przez państwo polskie, prowadzącego do zauważalnego zubożenia obywateli polskich.

Z okoliczności sprawy trudno wnioskować, jakoby M.R. Pompeo miał odnieść z niniejszej sytuacji

korzyść materialną dla siebie, niemniej stosownie do art. 115 k.k. na gruncie prawa karnego jako korzyść majątkową uznaje się świadczenie uzyskane zarówno dla siebie, jak i na rzecz innego podmiotu. Istnieje ponadto prawie pewność, że jeśli nie zostaną podjęte zdecydowane kroki prawne przez stronę polską, to M.R. Pompeo będzie ponawiał swoje bezprawne działania w przyszłości.

Do opisywanego zdarzenia doszło w warunkach wykorzystania stosunku zależności wynikającego z przynależności Polski do NATO, jak również z bilateralnej współpracy militarnej obu państw, która jako fakt powszechnie znany nie wymaga dodatkowych wyjaśnień. Polska w tej strukturze podlega rządowi USA. Także jeśli chodzi o dywersyfikację dostaw gazu i ropy, Polska kształtuje swoją politykę jako zależną od USA.

Michael Richard Pompeo jest obywatelem Stanów Zjednoczonych i jako przedstawiciel dyplomacji amerykańskiej stosownie do art. 578 k.p.k. nie podlega odpowiedzialności polskich sądów karnych, jednakże art. 580 k.p.k. umożliwia przeprowadzenie postępowania, jeśli państwo delegujące wyrazi na to zgodę. Teoretycznie możliwe było więc wystąpienie o taką zgodę do prezydenta USA, a w razie jej braku o przekazanie tej sprawy odpowiednim amerykańskim organom ścigania, bo podejrzenie o możliwości popełnienia przestępstwa na terenie RP przez Sekretarza

Stanu USA Michaela Richarda Pompeo jest w pełni uzasadnione.

Brak zdecydowanej reakcji władz polskich na skandaliczne i przestępcze działanie urzędnika amerykańskiego potwierdza podejrzenie, że relacje polsko-amerykańskie mają charakter kolonialny.

W OBRONIE FLAGI

Porównanie praktyki ekspozycji, używania oraz ochrony symboli państwowych w Polsce i w kilku wiodących demokracjach świata wypada dla nas bardzo źle.

Jednym z przykładów nieodpowiedniej ich ochrony był obrzydliwy postępек umieszczenia w trakcie jednego z programów TVN-u polskiej flagi narodowej w psich odchodach. Działania, które podjąłem w tej sprawie, przyniosły jak wiadomo zauważalny efekt w postaci ukarania tej stacji telewizyjnej przez KRRiT, ale przy okazji ujawniły właśnie znaczące niedostatki istniejących regulacji uniemożliwiające wszczęcie postępowania w stosunku do konkretnych osób dopuszczających się znieważania polskich symboli państwowych.

W ramach prac nad tą kwestią kierowana przeze mnie Fundacja im. Zygmunta Starego zgromadziła, a także przetłumaczyła znaczny materiał prawno-porównawczy. Jego analiza prowadzi do wniosku, że niezbędne są pilne zmiany w obowiązującym prawie.

1. Obecna Ustawa z dnia 31 stycznia 1980 r. o godle, barwach i hymnie Rzeczypospolitej Polskiej oraz pieczęciach państwowych była aż trzecim aktem prawnym wydanym w okresie komunistycznym, regulującym kwestie symboli państwa (pierwszy to konstytucja PRL z 1952 r., drugi to dekret o godle i barwach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z 7 grudnia 1955 r., Dz. U. Nr 47, poz. 314). Opublikowano ją na początku 1980 roku, praktycznie bez żadnej szczególnej okazji, a po przełomowej zmianie ustrojowej w 1989 roku zdołano do niej wprowadzić jedynie nieznaczne zmiany.

2. Jest to akt bardzo skromny objętościowo, liczący zaledwie 19 artykułów, a dotyczący wszystkich polskich symboli państwowych, jakie tylko istnieją. Wprawdzie zawiera on aż 4 delegacje do wydania rozporządzeń szczegółowych, lecz dotyczą one spraw dosyć wąskich, takich jak ekspozycja symboli w sytuacjach eksterytorialnych czy prawo do używania pieczęci urzędowych.

Obszerne kwestie związane na przykład z prawidłową praktyką prezentacji symboli, pieczołowicie uregulowane w przepisach choćby Stanów Zjednoczonych, w Polsce pozostają w ogóle poza normatywną regulacją. Akt ten zawiera ponadto nadal nieusunięte błędy merytoryczne, nie jest spójny z innymi aktami oraz nie zawiera instrumentów skutecznej obrony wartości, które deklaruje.

3. Ustawa wymienia jako symbole państwowe: Orła Białego, biało-czerwone barwy i *Mazurek Dąbrowskiego*, nakazując im cześć i szacunek oraz deklarując opiekę prawną nad nimi. Natomiast w dalszej części ustawa używa także innych określeń, takich jak: „godło” (wizerunek orła w czerwonym polu tarczy), „flaga” oraz „pieczęć” (państwowa i urzędowa). Nie jest jasne, które z tych pojęć podlega prawnej ochronie należnej symbolom.

Brakuje (w odróżnieniu od np. prawa niemieckiego) księgi znaków państwowych czy choćby ich jasnego katalogu. Rodzi to bardzo poważne konsekwencje ujawnione na przykład podczas przywołanych wyżej ekscesów Jakuba Wojewódzkiego (w programie wyemitowanym przez TVN), gdy chorągiewki w narodowych barwach wtykano w psie odchody. Poszczególne instancje prokuratorskie i sądowe odmawiały w tym wypadku podejmowania kroków prawnych, argumentując między innymi, że brak jest całkowitej pewności, czy była to polska flaga i czy doszło do jej znieważenia – ze względu na niedostatecznie jasną definicję prawną w tej materii.

4. Natomiast Kodeks karny w katalogu dóbr chronionych przez prawo karne przed znieważaniem, zawartym w art. 137 § 1, wymienia w dużej mierze liczniejsze niż przywołana ustawa pojęcia: „godło, sztandar, chorągiew, flagę lub inny znak państwowy”

(a np. w ogóle brak w art. 137 k.k. słowa „symbole”). W tej sytuacji istnieje poważna obawa, że ochrona przewidziana w tym przepisie jest w dużej mierze fikcyjna ze względu na wątpliwości co do treści normy prawnej.

5. Również ochrona cywilnoprawna symboli państwowych jest dyskusyjna ze względu na pogląd wyrażony w sprawie programu J. Wojewódzkiego przez prokuraturę, że pojedynczy obywatel nie posiada legitymacji czynnej do wystąpienia z roszczeniami z tytułu naruszenia jego indywidualnych dóbr osobistych, jako że zdaniem prokuratury podmiotem, któremu przysługują dobra określone w przedmiotowej ustawie, jest cały Naród, nie zaś poszczególni obywatele polscy.

Na te wątpliwości nakładają się niejasności definicyjne poszczególnych symboli. Kwestia ta zatem także wymaga jasnego ustawowego przesądzenia, w przeciwnym bowiem razie poszczególni polscy obywatele będą w dalszym ciągu pozbawieni podstawowego narzędzia do obrony czci swej Ojczyzny.

6. Należy również prawnie udaremnić możliwość obrony – dotąd skuteczną – przed zarzutem zbezczeszczenia symboli państwowych tłumaczeniem się jakimś rodzajem twórczości czy konwencją satyryczną.

7. Ustawa zawiera od samego początku duży błąd merytoryczny, używając określenia „godło” w znaczeniu właściwym w języku polskim dla słowa „herb”. Godło to element, względnie elementy na tarczy herbowej, herb zaś to te elementy wraz z tarczą. Według ustawy godłem nie jest sam orzeł, lecz orzeł umieszczony w czerwonym polu tarczy.

Ponadto sformułować można sporo uwag z zakresu heraldyki co do samej stylistyki herbowej i szczegółów rysunku.

8. Nie jest dostatecznie precyzyjnie ujęty zakres ustawy co do podmiotów zobowiązanych do używania godła, jak i do ekspozycji flagi. Użycie określeń w rodzaju: „pomieszczenia urzędowe”, „sale posiedzeń”, „sale wykładowe i lekcyjne” (art. 3.1) przez brak ścisłego ich odniesienia do poszczególnych kategorii podmiotów powoduje liczne niejasności, a co za tym idzie – istotne zaniechania. Obserwujemy coraz liczniejsze przypadki na przykład sal wykładowych czy sal sądowych bez godła. Poza tym nie ma czegoś takiego jak „pomieszczenia [...] należące do organów gmin”, bowiem organ gminy (czy jakiegokolwiek innej jednostki samorządu terytorialnego) nie jest samodzielnym podmiotem praw podmiotowych ani sam nie może być posiadaczem czegokolwiek.

9. Mimo wyraźnego i zamkniętego katalogu podmiotów uprawnionych do używania flagi z godłem (art. 8)

obserwuje się liczne przypadki używania takiej flagi także przez inne podmioty. Ustawa nie zawiera w tym względzie żadnej metody profilaktyki czy sankcji, podobnie jak co do wszelkich innych przypadków niezgodnego z nią używania symboli lub – co gorsza – ich modyfikowania.

10. Nie istnieją żadne mechanizmy, które by zapewniały, że producenci symboli będą wierni wskazaniom ustawowym. Jednocześnie można zaobserwować bardzo wiele przypadków produkcji symboli nieodpowiadających standardom – co do wymiarów, kolorystyki, a także co do właściwego materiału: tak tkaniny, jak i drzewca. Złe przykłady wytwarzania godła w kolorze na przykład brązowym (z czekolady) szły niekiedy z samej góry. Można by się zatem zastanowić nad częściowym certyfikowaniem niektórych wyrobów, tak aby istniały w tej mierze prawidłowe wzorce.

11. Chociaż istnieją nasze rodzime reguły prawidłowej prezentacji symboli, to nie wszystkie one mają rangę ustawową, przez co nie są znane ogółowi społeczeństwa. Stąd więc częste przypadki nieprawidłowości w tym zakresie. Obserwuje się na przykład flagi zawieszane odwrotnie czy w złej pozycji wobec flag innych, dotykające muru, względnie ziemi, powieszzone na kiju od miotły zamiast na drzewcu, brudne i ze-

tlale. Tymczasem w wielu krajach dokumenty takie jak protokół flagowy są aktami ustawowymi i łatwo dostępnymi.

Przepisy USA dotyczące ochrony symboli są szczegółowe i jednoznaczne. Na pewno ma to związek z wielką czcią, jaką w tym kraju otacza się flagę. Nawet jej odwrotne wywieszenie poczytywane jest za zniewagę. Protokół zawiera wiele szczegółów, takich jak ekspozycja nocna (obowiązek podświetlania), postępowanie na wypadek niepogody, kwestie użytego do jej wykonania materiału czy sposób postępowania z flagami zużyтыми.

Szczególnie poruszający jest przepis, bynajmniej nie na końcu dokumentu, lecz w uzupełnieniu kolejnych wskazań, że flaga jako reprezentująca żywy naród winna być traktowana jak istota żywa.

Dzień 2 maja ogłoszono Dniem Flagi (art. 6a), lecz nie wypełniono tego zapisu żadną merytoryczną treścią. Może nią być właśnie propagowanie wiedzy o zasadach prezentacji flagi. Zasady te winny zyskać rangę normatywną.

12. Nie istnieje wymóg egzekwowania wiedzy o symbolach państwowych od osób ubiegających się o polskie obywatelstwo. A wymóg taki istnieje w ustawodawstwie innych krajów, na przykład Kanady, gdzie pretendent musi objaśnić kwestię flagi i przytoczyć początek hymnu państwowego.

13. Kwestią związaną z ochroną symboli są przypadki nazbyt lekkomyślnego oddawania pieczy nad elementami domeny państwowej podmiotom prywatnym, niekoniecznie wiarygodnym. Wskazać trzeba tu między innymi oddanie w ręce prywatne domen internetowych o charakterze narodowym, takich jak na przykład „polska.pl” czy „poland.pl” – beneficjentem jest tu spółka Agora. Innym przykładem jest zapis art. 14 Ustawy z 2010 r. o sporcie, przekazujący wizerunek członka kadry w stroju reprezentacji narodowej związkowi sportowemu oraz komitetowi olimpijskiemu do wykorzystywania komercyjnego.

14. Powszechną praktyką stały się wariacje na temat godła wykorzystywane przez poszczególne polskie ministerstwa. Część używa wersji z mocnym cieniowaniem, część bez, Ministerstwo Spraw Zagranicznych zaś stosuje sam kontur orła. Zasadne byłoby przyjęcie ujednoliconej stylistyki (pomijając tu stosowane dodatkowo loga ministerstw), gdyż nie są to autonomiczne instytucje i powinny podlegać regule jednorodnej estetyki.

Wszystkie te uwagi wraz z deklaracją wsparcia procesu legislacyjnego przez uniwersyteckich prawników pracujących dla Fundacji im. Zygmunta Starego, a także opis przeszkód prawnych, które napotkałem, próbując doprowadzić do wszczęcia postępowania przez prokuraturę, przekazane zostały jesienią 2015

roku do Kancelarii Prezydenta RP Andrzeja Dudy oraz do Sejmu RP na ręce wicemarszałka Ryszarda Terleckiego.

Pan Prezydent poprzez swojego ministra podziękował kurtuazyjnie i ogólnikowo za podjęcie tematu, wicemarszałek Terlecki, mimo dwukrotnego przesłania wniosku, nie odpowiedział w ogóle.

Do końca 2020 roku partia mieniąca się najbardziej patriotyczną w Polsce nie wprowadziła żadnych zmian ustawowych, które zapewniłyby ochronę polskich symboli narodowych i państwowych.

PAŃSTWO OPIEKUŃCZE

W obecnych uwarunkowaniach polityczno-społecznych nie da się powiedzieć niczego optymistycznego o możliwości odejścia od modelu państwa opiekuńczego. Źródłem fundamentalnego pesymizmu w tym zakresie jest przekonanie, że te opiekuńcze działania są w kategoriach rynkowych po prostu potrzebą rynkową. Jest to więc potrzeba rynkowa, która przez polityków jest zaspokajana, i trudno sobie w dzisiejszej Polsce – czy w dzisiejszym świecie – w ogóle wyobrazić partię, która by z tego całkowicie zrezygnowała, bo wtedy przegrałaby wybory i wypadłaby z obiegu politycznego.

Na razie więc mamy taką sytuację, że wszyscy politycy chcą tę potrzebę zaspokajać i żadną działalnością

społeczną nie da się na ten stan rzeczy wpłynąć, wprowadzając zasadnicze zmiany strukturalne, dopóki owa potrzeba opiekuńczości ze strony państwa będzie istniała. Pytanie o możliwość zmiany i możliwość odejścia od państwa opiekuńczego jest pytaniem o możliwość zniknięcia tej potrzeby rynkowej i społecznej. Jej źródłem jest po prostu niedojrzałość znaczącej części społeczeństwa, znaczącej liczby ludzi, którzy w rzeczywistości niestety dorośli są tylko metrykalnie, a tak naprawdę dorośli nie są.

Oczywiście jeśli za jedną z istotnych cech dorosłości uznamy branie odpowiedzialności za własne życie, ale akurat taka postawa we współczesnym świecie jest charakterystyczna tylko dla mniejszości.

Odchodzenie od państwa opiekuńczego będzie możliwe wyłącznie wtedy, gdy wśród ludzi dorosłych metrykalnie zacznie wzrastać także liczba osób dorosłych rzeczywiście, no ale żeby tak się stało, musiałyby istnieć w społeczeństwie jakieś silne struktury edukacyjne, które wychowywałyby do dorosłości i odpowiedzialności. I byłyby zainteresowane skutecznością takiego wychowania.

W Polsce wpływowych, dużych struktur, które by wychowywały społeczeństwo do odpowiedzialności i dorosłości, nie ma, choć można oczywiście ludziom tłumaczyć, że bycie dorosłym jest fajne i że branie odpowiedzialności za własne życie jest w ogóle fundamentem wolności indywidualnej. Ale to nie jest pogląd, który będzie powszechny w najbliższym czasie.

POSTSCRIPTUM

Pewien wysoki oficer Służby Bezpieczeństwa tłumaczył kiedyś Kazimierzowi Brandysowi, że nie powinno się nic pisać, że inteligentny człowiek nic nie pisze, bo inteligentny człowiek nie zostawia po sobie żadnych śladów...

Byłem podziemnym wydawcą

zostałem powołany – czyż nie było lepszych
Zbigniew Herbert, *Przesłanie Pana Cogito*

Takie wspomnienie trzeba zacząć od wyjaśnienia, co znaczy sam tytuł i jakiej dotyczy sytuacji. Była ona zupełnie niewyobrażalna dla tych, którzy nie żyli w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku, a więc na przykład dla moich wnuków. Nie istniały internet ani telefonia komórkowa, na przydział telefonu stacjonarnego trzeba było czekać kilkanaście lat. W Polsce absolutną władzę miała Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, która tę władzę otrzymała z nadania sowieckiego najeźdźcy i która tej władzy używała przede wszystkim w celu zabezpieczenia jego interesów mocarstwowych i ideologicznych. Prasa, wszelkie wydawnictwa, radio i telewizja były całkowicie nadzorowane przez Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk nazywany potocznie cenzurą. Wolność słowa, która dzisiaj jest oczywistością, wtedy praktycznie była nie do pomyślenia. Sys-

tem socjalistyczny wszystko kontrolował i starał się podporządkować swojej ideologii. Bycie „podziemnym” wydawcą oznaczało więc działanie poza tym systemem, nielegalne, sprzeczne z obowiązującym wtedy prawem, zagrożone więzieniem i represjami ze strony policji politycznej tego systemu, czyli Służby Bezpieczeństwa.

W 1979 roku rozpocząłem studia filozoficzne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Na ten całkowicie niepraktyczny kierunek zagnało mnie pragnienie odnalezienia sensu własnej egzystencji. Spodziewałem się, że ceną za tę możliwość będzie nieustanne narażenie na nachalną propagandę i konieczność poznawania marksizmu i leninizmu, choć miałem nadzieję na zrozumienie klasycznej filozofii oraz różnych idei, a przede wszystkim na uporządkowanie wewnętrznego chaosu myślowego i emocjonalnego. Znalazienie odpowiedzi na pytanie, jaki jest sens życia człowieka.

Tak to sobie wyobrażałem i na to się przygotowywałem. Szedłem na studia z nadziejami i obawami, ale rzeczywistość zupełnie mnie zaskoczyła. Ku swojemu zdumieniu trafiłem do oazy wolnej myśli, jaką był Instytut Filozofii UJ, naturalnie nie w znaczeniu politycznym, ale czysto intelektualnym i naukowym. Marksizm był obecny, lecz we właściwych proporcjach i w kontekście swojej epoki, ginąc gdzieś zupełnie pośród innych myślicieli różnych czasów. Znamiennymi wykładowcami otwierali przede mną świat nauki, dorobku ludzkiej myśli, wręcz wyrwali z okowów

politycznej i społecznej codzienności, kierując umysł ku innej rzeczywistości.

W tej sferze intelektualnej wolności nie było komunistycznej retoryki, liczyła się nauka, wiedza i myśl, a wszystko inne pozostawało przed drzwiami uczelni. Oczywiście była to zasługa profesorów Kudero-wicza, Łagowskiego, Stróżewskiego i wielu innych.

Owszem, działała na wydziale Podstawowa Orga-nizacja Partyjna PZPR, ale nawet ona dawała się chy-ba ponieść tendencjom dalekim od marksistowskiej dialektyki i materialistycznego światopoglądu, skoro jej sekretarz pisał doktorat z... angelologii.

Wkrótce stała się rzecz jeszcze ciekawsza i bar-dziej niespodziewana, która ukształtowała moją ży-ciovą drogę. Pewnego dnia koledzy z wyższego roku, Gośka Bator i Rysiek Pawłowski, pokazali mi książki z drugiego, „podziemnego” obiegu. To był dla mnie kompletny szok. Przecierałem oczy ze zdumienia. Zobaczyłem, że może istnieć coś, co istnieć nie ma prawa. Żadna z tych publikacji oficjalnie nie wyszła z drukarni, nie miała numeru ISBN, nie można było jej kupić w księgarni, wypożyczyć w bibliotece. Ta-kie tytuły po prostu nie miały prawa istnieć. A jed-nak fizycznie i namacalnie były, widziałem je, do-tykałem ich jak niewierny Tomasz. Rozprowadzano je, sprzedawano i czytano. Pochodziły z innego, jak-by magicznego świata. Zaskakujące doświadczenie dla studenta filozofii! Materializacja idei, Słowo sta-ło się Ciałem. A ciałem było słowo w pełni wolne

i niezależne, już nie neutralna wiedza, przekazywana za przyzwoleniem władz, ale treści jawnie antykomunistyczne lub co najmniej pisane i drukowane w warunkach wolności słowa, artystycznej i intelektualnej, ukazujące się pod prawdziwym nazwiskiem, trafiające „pod strzechy” bez śladu w jakichkolwiek katalogach książek wydanych. Nie pamiętam, czy drżały mi ręce, gdy trzymałem miesięcznik „Zapis” i *List* Adama Zagajewskiego, ale mój umysł drgnął na pewno. Byłem kompletnie oszołomiony. Do tej pory zawsze trzymało mnie w niemocy dojmujące przekonanie, że niczego w tej rzeczywistości politycznej zrobić się nie da – teraz zobaczyłem nie tylko, że można, ale i w jaki sposób. Nie w tym rzecz, że rzeczywistość była całkowicie nieakceptowalna, bo przecież Polska Ludowa dawała wykształcenie, zapewniała zaspokojenie podstawowych potrzeb i nawet pewne obszary wolności, dało się w niej żyć, funkcjonować, nawet zrobić karierę naukową.

W wypadku drugiego, podziemnego obiegu wydawniczego nie było już zakazów, nie było ograniczeń innych niż te w umysłach autorów i wydawców, nie było uciekania w abstrakcję – była wolność pełna, choć oczywiście miała swoją cenę, czyli zagrożenie wyrzuceniem ze studiów, represjami i więzieniem. W końcu były to wydawnictwa nielegalne, uderzające w ustrój państwa, międzynarodowe sojusze i tak dalej. Ale właśnie taka wolność, pełna i całkowita, miała wartość pełną i całkowitą. I ta nieskrępowana

niczym swoboda pojawiała się akurat w obszarze książek, które zawsze były obiektem mojego uwielbienia. A książki wydawane poza cenzurą były marzeniem, które samo do mnie przyszło, nim ośmieliłem się o nim pomyśleć. To był wstrząs. Wstrząs, że istnieje sensowna możliwość mojego działania, z którego w dodatku mój ojciec, żołnierz Armii Krajowej, i dziadek, żołnierz Armii Andersa, byliby dumni.

W sierpniu 1980 roku rozpoczął się słynny karnawał Solidarności, więc z wakacji wracałem do nieco już innej rzeczywistości. W Krakowie przekazano mi wiadomość o spotkaniu grupy inicjatywnej wolnego związku studentów². Wraz z Jarkiem Zadenckim i kolegami z filozofii oraz kilku innych kierunków jako grupa inicjatywna nowej organizacji wydaliśmy oświadczenie i ulotkę, które wydrukowali koledzy ze Studenckiego Komitetu Solidarności dysponujący sprzętem poligraficznym. Zostając członkiem Niezależnego Zrzeszenia Studentów, nie widziałem dla siebie większej roli do odegrania niż rola szeregowego członka. W końcu byli tam „weterani” z SKS-u, koledzy, w których odwagę i mądrość żywiłem niezachwianą ufnością.

O dziwo stało się inaczej. Znalazłem się w grupie, która zaplanowała wydawanie periodyku społeczno-literackiego. Biorąc pod uwagę, ile dla mnie znaczyło

² H. Głębocki, Z. Dawidowicz (red.), *Niezależne Zrzeszenie Studentów w Krakowie w latach 1980–1990. Wybór dokumentów*, t. 1, Wydawnictwo Arcana, Kraków 2014, s. 168–169.

słowo pisane – legalne i nielegalne – byłem chyba do tego predestynowany. Ale fakt, że moja działalność przybrała konkretniejsze kształty, zawdzięczam nie tylko swojemu entuzjazmowi. Prowadziliśmy bardzo ożywione dyskusje, początkowo jednak z tych dyskusji nic kompletnie nie wynikało. To intelektualne ożywienie było czymś pięknym, lecz nie przynosiło żadnych owoców. Co robiliśmy? Dyskutowaliśmy. Czy coś się przez to zmieniało? Tylko dni w kalendarzu. I nagle odkryłem, że jestem jedną z nielicznych osób w tym gronie, które potrafią nie tylko mówić, ale także działać i organizować. Takie odkrycie wewnętrznego potencjału w nieśmiałym i niepewnym sobie chłopcu, jakim byłem, odmieniło moje życie. Czasopismo zaczęło się ukazywać pod nazwą „Bez Tytułu”. Zostałem jego redaktorem prowadzącym.

Pod szyldem „Bez Tytułu” pojawiały się teksty rozmaite, które kierowane były do studentów i mieściły się w szeroko pojętej tematyce społeczno-kulturalnej. Wśród redaktorów było wielu znakomitych kolegów, w tym Ludwik Stasik, który zasłynął później z Jerzym Donimirskim i Antonim Zielińskim wmurowaniem w biały dzień na krakowskim Rynku Głównym tablicy upamiętniającej drugą rocznicę podpisania Porozumień Sierpniowych. Mimo stanu wojennego i mimo obecności milicji, która nie rozumiała, co w okolicy wieży ratuszowej „naprawiają” jacyś „robotnicy”.

Finalnie jednak redakcja „Bez Tytułu” okazała się za mała dla tak silnych osobowości, jakie ją tworzyły.

Osobiste ambicje i personalne napięcia zaczęły psuć atmosferę i utrudniać pracę. W takich warunkach zrezygnowałem z funkcji redaktora prowadzącego. Zastąpił mnie Krzysiek Gurba (dzisiaj profesor, wykładowca Uniwersytetu Pedagogicznego), ale nie na długo – żywot „Bez Tytułu” po czterech numerach przerwało wprowadzenie stanu wojennego.

W międzyczasie w ramach działań Niezależnego Stowarzyszenia Studentów zostałem współzałożycielem wraz z Jarkiem Zadenckim, Janem Marią Rokitą, Konstantym Miodowiczem, Jarosławem Gowinem, Krzysztofem Dawidowiczem i innymi kolegami Klubu Myśli Patriotycznej „Jagiellonia”. Celem klubu było rozwijanie polskiej myśli niepodległościowej i państwowej, uczestniczenie w pracach na rzecz utrwalania i zachowania tożsamości narodowej Polaków oraz refleksja nad rolą społeczną inteligencji i jej powinnościami względem narodu.

I to był dla mnie kolejny moment przełomowy, bo już wkrótce pod auspicjami Jagiellonii i NZS-u założyłem oficynę wydawniczą drugiego obiegu pod nazwą Oficyna NZS UJ „Jagiellonia”³. Znalazłem się więc w miejscu najbardziej dla siebie odpowiednim: wydawałem niezależne książki poza cenzurą, choć w czasie istnienia pierwszej Solidarności takie działania, mimo że nielegalne, to jednak nie było specjalnie ryzykowne, tak jak wcześniej i później po

³ Tamże, s. 60.

wprowadzeniu stanu wojennego. Książki zawsze ko-chałem miłością zapamiętałą, publikowanie zaś wolnej myśli było dla mnie doświadczeniem wręcz mistycznym, odkąd tylko spotkałem się ze zjawiskiem drugiego obiegu. Początki były trudne, bo wiedziałem wprawdzie, co chciałem robić, ale od strony technicznej kompletnie nie miałem o tym pojęcia. Zgadywałem tylko, że muszę dotrzeć do osób, które mają do dyspozycji maszyny offsetowe i papier. W owych czasach jedno i drugie nie było towarem powszechnym – papier podlegał przydziałom, o których mogłem tylko pomarzyć, natomiast o maszynie do własnej dyspozycji i pomarzyć nie mogłem. Nawiązałem więc kontakty z drukarzami zatrudnionymi w państwowych zakładach małej poligrafii, ale przecież za każdą usługę trzeba było zapłacić. Sam nie dysponowałem żadnymi funduszami. Jedynym moim pomysłem było kołatanie do różnych osób z osobliwą propozycją zainwestowania we mnie i w moją działalność pieniędzy i udostępnienie jakiejś książki wydanej na emigracji. Dlaczego jednak ktoś miałby mi zaufać, skoro wszystkie te znajomości studenckie były świeże?

Pomoc przyszła od Jarka Zadenckiego, który wszak w moje zdolności wydawnicze ani odpowiedzialność finansową ufać nie musiał. Dzięki niemu miałem jednak wkrótce w rękach pierwszą książkę i pieniądze, które pożyczył od swojego ojca. Pokonałem więc najważniejszą przeszkodę, bo upór i nawiązane

w międzyczasie kontakty musiały zaowocować, gdy tylko zaczęły mieć nad czym i za co pracować. Wydanie *Współtrządzić czy nie kłamać?* Andrzeja Micewskiego okazało się sukcesem. Ze sprzedaży tego tytułu mogłem oddać Jarkowi pieniądze i zdobyć fundusze na kolejny projekt Oficyny. Byłem z siebie zadowolony – zrobiłem coś dla wolności słowa w Polsce, zasłużyłem się dla Niezależnego Zrzeszenia Studentów i Klubu Myśli Patriotycznej, umożliwiłem dalszą działalność Oficynie, nauczyłem się wydawać książki, a w końcu dość szybko zwróciłem pożyczone fundusze, uwiarygadniając się na całej linii. Ta szara, prawie trzystustronicowa książka z drugoobiegowej Oficyny była początkiem czegoś nowego w moim życiu. Odnalazłem swoją drogę i zacząłem sobie na niej radzić.

Współtworzyłem również w tym czasie Wydawnictwo ABC, kierując w nim jednym z dwóch pionów wydawniczych. Drugim kierował niezwykle człowiek, Wojtek Wiśniewski, taternik i speleolog, odkrywca kilkudziesięciu jaskiń. Uczestnik niezliczonej liczby wypraw, także wielu samotnych, w których trakcie wczołgiwał się w jaskiniach do nieznanych korytarzy. Autor kilkuset artykułów o tematyce górskiej i jaskiniowej oraz kilkudziesięciu map jaskiń. Samodzielne i samotne odkrywanie niedostępnych korytarzy jaskiniowych to dowód na poziom odwagi dla mnie kompletnie niepojęty.

W ramach ABC wydałem kilkanaście tytułów, równolegle prowadząc jednoosobowo Oficynę NZS UJ „Jagiellonia”. Wszystkie wydane przeze mnie książki sprzedawały się w błyskawicznym tempie, a ostatnia doczekała się dodruku. Nakłady zwykle sięgały tysiąca egzemplarzy.

Pomijając już walkę o wolność słowa, czyli tak zwaną misję, Oficyna była biznesowym strzałem w dziesiątkę. W ciągu kilku miesięcy z petenta, który składa różnym ludziom dziwne propozycje, stałem się de facto jednoosobową firmą, nielegalną wprawdzie, ale świetnie prosperującą. Przyznałem sobie tylko fundusz pokrywający bieżące wydatki, choćby takie jak transport książek. Byłem w jednej osobie pracodawcą, pracownikiem i księgowym. Cały zysk z tej działalności, czyli wszystkie pieniądze, przekazałem skarbniczce NZS Wiesi Sotwin 11 albo 12 grudnia 1981 roku, a więc w terminie bardzo szczególnym.

Na fali powodzenia założyłem nawet małą księgarnię z niezależnymi wydawnictwami. Wprawdzie „bibułę” kolportowano w wielu punktach Krakowa, ale dostępna dla każdego księgarnia, przeznaczona również dla tych, którzy nie mieli kontaktu ze strukturami Solidarności czy środowiskiem studenckim, była czymś wyjątkowym. W mieście zawisły plakaty wskazujące lokalizację księgarni, a to, co poza oficjalnym obiegiem można było w niej kupić, należało wprawdzie do wiedzy dostępnej tylko wtajemniczonym, ale tych przybywało, w końcu żądza wolnego

słowa było ogromna. Tą wskazywaną przez plakaty lokalizacją było samo serce Krakowa – gmach Wyższej Szkoły Pedagogicznej przy ulicy Grodzkiej. Co rano przed otwarciem ustawiała się przed księgarnią kilkudziesięcioosobowa kolejka – widok w Polsce Ludowej częsty, choć zwykle przed zupełnie innymi sklepami. Przez księgarnię przewijały się tłumy, a ja byłem szczęśliwy: drukowałem nielegalne wydawnictwa, sprzedawałem je niemal masowo, zarabiałem dobre pieniądze dla niezależnej od władzy organizacji studenckiej. Upajałem się wolnością i zakładałem, że będzie tylko lepiej. Na wszelki wypadek zachowywałem jednak pewne zasady konspiracji, oczywiście w takim stopniu, w jakim było to możliwe.

Miałem już wtedy wiele kontaktów z różnymi drukarzami. Poszukiwałem takich, którzy zajmowali się drukowaniem drugoobiegowych publikacji dla Kościoła i proponowałem im nieco bardziej ryzykowne treści. Świetnym współpracownikiem okazał się pan S. – był nie tylko wykonawcą, ale i koordynatorem prac. Miał swoich, nieznanych mi drukarzy i introligatorów, którym zlecał konkretne książki. Bezpośrednio pracowało dla mnie dziesięciu drukarzy, niektórzy – jak właśnie pan S. – sami organizowali druk.

Jeszcze ciekawszy był mój inny „współpracownik” – pan C. Wówczas moje kontakty w środowisku drukarskim zataczały już coraz szersze kręgi, jeden polecał mnie innemu, ten kolejnemu i tak dalej.

Tak trafiłem na pana C., który wydrukował mi kilka rzeczy. Dość późno dowiedziałem się, że jego możliwości „operacyjne” wynikają z tego, że jest pracownikiem Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i szefem działającej tam małej poligrafii. Gdybym wiedział o tym wcześniej, pewnie nie zdecydowałbym się na współpracę, ale wtedy już była ona dość zaawansowana i... pewna. Jest to o tyle ciekawe, że Komitet Wojewódzki PZPR był wówczas najbardziej wpływową instytucją w Małopolsce, a ludzie tam pracujący byli równie wpływowi i teoretycznie politycznie „pewni” dla swoich przełożonych. Stanowisko szefa komitetowej poligrafii było stanowiskiem politycznym. Pan C. był zresztą krewnym wysokiego funkcjonariusza partyjnego. I ten człowiek wydawał nielegalną „bibułę” dla opozycji! Jestem pewien, że nie odbywało się to w ramach jakiejś esbeckiej operacji, bo ta współpraca nie przyniosła żadnych nieprzyjemnych konsekwencji. Przebieg wypadków wskazuje na to, że mój osobliwy współpracownik nikomu o kontaktach ze mną nie opowiadał. Mnie za to opowiadał wiele o tym, co działo się w Komitecie Wojewódzkim – głównie zabawne „ciekawostki”, które wskazywały, że do swych „towarzyszy” miał stosunek w najlepszym razie mocno lekceważący. Słyszałem od niego między innymi, jak pewnego dnia do Komitetu przyszły trzy radiomagnetofony „Kasprzak”, o które cały dzień kłóciło się czterech sekretarzy partyjnych.

Mało tego, pan C. w okresie poprzedzającym wprowadzenie stanu wojennego wyraźnie mnie ostrzegał, że coś się szykuje. Nie potrafił dokładnie określić, co to będzie, ale opowiadał, że zabroniono przyjeżdżać do KW PZPR prywatnymi samochodami, a wszystkim pracownikom wydano broń ostrą (której zresztą nie przyjął). Alarmował mnie kilkakrotnie. Wszystkie te ostrzeżenia zlekceważyłem, Solidarność wydawała mi się potęgą, a skoro komuniści po kryjomu się zbroją, to widocznie przed tą potęgą drżą. Wydawnictwo ABC i Oficyna NZS UJ „Jagiellonia” świetnie prosperowały, książki trafiały do ludzi, były zyski, ale ja zachłystywałem się nie pieniędzmi, lecz wolnością i tym szczególnym poczuciem mocy, jakie towarzyszy nam tylko wtedy, gdy realizujemy maksymę *Fortis imaginatio generat casum*. Tak, moje wyobrażenia tworzyły rzeczywistość.

Wprowadzenie stanu wojennego spadło na mnie jak grom z jasnego nieba. Skończyły się sny o potędze. Władza kontratakowała, rozpoczęły się aresztowania. Jeszcze 13 grudnia wydrukowałem jakąś ulotkę, a po mieście paradowałem bez jakiegokolwiek obawy. Dopiero w takich okolicznościach usłyszałem od kolegów życzliwe rady, abym się gdzieś zasztył, bo z pewnością będą chcieli mnie aresztować. Zlekceważyłem już informacje od pana C., więc po dwóch dniach takich ostrzeżeń rzeczywiście postanowiłem się ukryć. Niepotrzebnie, bo jednak nie znalazłem się na listach do internowania. Czy dlatego, że

przez cały rok 1981 zachowywałem zasady konspiracji, mało kto znał moje nazwisko, a cały interes z drukarstwem na dobrą sprawę zaczął lepiej prosperować dopiero jesienią – rozwinąłem skrzydła dosłownie na chwilę przed tym, gdy swoje rozwinęła znienacka WRON-a. Wprawdzie moja teczka personalna w Instytucie Pamięci Narodowej jest mocno zdekompletowana, ale brakuje jakichkolwiek śladów wskazujących na bezpośrednie zainteresowanie moją osobą przed 1983 rokiem. Zatem i pan C. musiał milczeć, zresztą w przeciwnym razie za drukowanie „bibuły” poleciałyby głowy w KW PZPR, bo przecież nie tylko on w tym uczestniczył. Nic takiego się nie stało, a i moja ostała się na karku. Ukrywałem się w jakimś pustym mieszkaniu przez kilka dni. Tylko materac na podłodze, jedzenie przygotowane przez mamę i radio nastawione na zagłuszaną przez SB rozgłośnie Radiu Wolna Europa, nadającą z Monachium. I ogłupiająca samotność. Jak łatwo z członka wielkiej wspólnoty można stać się nagle jednostką bez jakiegokolwiek kontaktu z innymi... Ponieważ nie byłem jednak poszukiwany, wyszedłem z ukrycia i Wigilię Bożego Narodzenia spędziłem już w domu.

Postanowiłem oczywiście kontynuować swoją działalność – walczyć, choć warunki były już dużo trudniejsze, a niebezpieczeństwo zdecydowanie poważniejsze. W tym czasie, czyli w pierwszych miesiącach stanu wojennego na przykład na Wybrzeżu studenci, którzy wydawali w podziemiu „bibułę”,

dostawali wyroki dziesięciu lat więzienia. Później okazało się, że nie odsiedzieli ich w całości, ale nielegalna działalność w stanie wojennym to na pewno nie były żarty. Nie miałem wtedy wcale poczucia, że jestem odważny. Bałem się, ale nadal chciałem być wydawcą. Czy taką właśnie dzielność miał na myśli Arystoteles? Działanie na rzecz wolności słowa wydawało się czymś najważniejszym i oczywiście nawet na myśl mi nie przychodziło, że kiedyś, w wolnej Polsce ta wolność słowa będzie miała często aż tak gorzki smak.

Wraz z Ludwikiem Stasikiem zajęliśmy się najpierw drukowaniem biuletynu informacyjnego „Obserwator Wojenny”, lecz mieliśmy spory problem z pracą na „białku”: mówiąc najkrócej, Ludwik znał się na tym słabo, a ja wcale. Wydaliśmy chyba tylko trzy numery, ale wszystko było tak zamazane, że nie wiem, czy ktoś był w stanie je przeczytać w całości. Chciałem więc wrócić jak najszybciej do wydawania książek i to moje nowe wydawnictwo nazwałem Krakowskie Towarzystwo Wydawnicze.

Już w styczniu pod nowym szyldem wydrukowałem przygotowany przez Tadeusza Nyczka zbiór wywiadów Marii de Hernandez-Paluch *Spisane będą czyny i rozmowy*. Maszynopis książki przekazała mi znajoma Tadeusza, pani M.W., dzisiaj profesor o znanym nazwisku. Spotkanie z nią rozbawiło mnie i wzruszyło. Zaczęło się od jej słów: „Tylko mi nic nie mówcie, proszę, nic kompletnie, bo jeśli zostanę

aresztowana i przytrzymają mnie jeden dzień bez ła-
zienki, to wszystko im powiem”.

Publikacja i tym razem była drukowana w Komite-
cie Wojewódzkim Polskiej Zjednoczonej Partii Robot-
niczej, co w stanie wojennym było nie lada bezczel-
nością, nie wiem tylko, czy większą z mojej strony,
czy ze strony pana C. Ta działalność wystawia mu
zresztą najlepsze świadectwo, bo przez kontakty ze
mną ryzykował więcej niż ja sam.

Ale pan C. robił jeszcze więcej – dostarczał nam
sprzęt poligraficzny, czyli coś na wagę złota. Ofi-
cjalnie złomował sprawne urządzenia, po czym po
sporządzeniu stosownych protokołów sprzedawał je
nam. Zarabiał wprawdzie na tym, ale przecież ryzy-
kował znacznie więcej, niż to było warte. W ten spo-
sób kupiłem od niego sprawny kserograf do produk-
cji matryc offsetowych dla Henryka Karkoszy, który
wiele lat później okazał się tajnym współpracowni-
kiem SB o pseudonimie „Monika”. Panowie oczywiście
o sobie nic nie wiedzieli. W mojej teczce w IPN
są donosy „Moniki” na mnie, ale takie jakieś niekom-
pletne. On miał o mnie więcej informacji, niż było
w tych donosach. Koniec końców wyszło na to, że
załatwiłem od urzędnika Komitetu Wojewódzkiego
PZPR sprzęt dla agenta Służby Bezpieczeństwa, na
którym ten drukował antykomunistyczną „bibułę”...

Byli naturalnie i inni drukarze – pan R., niezastą-
piony pan S., pan O., pan Z. i jeszcze jeden pan R.
W ramach Krakowskiego Towarzystwa Wydawniczego

współpracowali ze mną jako organizatorzy produkcji wydawniczej Paweł de Barbaro (dzisiaj fizyk wysokich energii pracujący w Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych CERN pod Genewą), Tomasz Placcek (dzisiaj profesor filozofii na UJ) i Marcin Zaczek (dzisiaj doktor nauk medycznych i znakomity, oddany pacjentom kardiolog).

Po długich dyskusjach, jakie prowadzili Tadeusz Nyczek, Ludwik Stasik i Andrzej Sulikowski, narodził się pomysł na czasopismo społeczno-kulturalne, które miało się ukazywać pod pełnym nadziei tytułem „Feniks”. Nyczek, Stasik i Sulikowski przygotowali pierwszy numer, ale ostatecznie zmieniono nazwę pisma na „Arka”⁴. Wydrukowałem i rozkolportowałem ten pierwszy numer, a częściowo też kolejne numery, wspierając to ważne czasopismo. Od drugiego numeru zmieniła się redakcja, a ideowy Ludwik został z niej wygryziony. Umiał pogrywać sobie z komuną, ale nie z drapieżnikami, które były także w szeregach opozycji i potrafiły brutalnie walczyć o swoją pozycję.

Kolportaż to oczywiście była istotna struktura zapewniająca rozpowszechnianie kolejnych wydawnictw. Miała charakter wielopoziomowy – rozdzielających się ścieżek, na których następowały kolejne podziały liczby przekazywanych egzemplarzy.

⁴ P. Franaszek, „Jagiellończyk”. *Działania Służby Bezpieczeństwa wobec Uniwersytetu Jagiellońskiego w latach osiemdziesiątych XX w.*, Instytut Pamięci Narodowej, Kraków 2012, s. 215 i 289.

Ponadto od moich kolporterów w Krakowie wydawnictwa odbierali dystrybutorzy z innych miast. Miałem też bezpośrednich kolporterów warszawskich, gdańskich i podkarpackich, którzy przyjeżdżali do mnie po książki.

Wieści o mojej działalności dotarły w końcu do kręgów „Kultury” w Paryżu, gdzie skierował się Jarek Zadencki po zwolnieniu z internowania i po otrzymaniu paszportu. Za jego sprawą Jerzy Giedroyc zaproponował mi drukowanie „Zeszytów Historycznych”. I tak zaczęła się współpraca mojego Krakowskiego Towarzystwa Wydawniczego z legendarną „Kulturą” paryską. Giedroyc dopłacał do każdego numeru jakieś dwieście dolarów, przysyłał gotowy numer, a my robiliśmy jego polską reedycję.

Ale w końcu i nam powinęła się noga. Wpadł w trakcie kontroli SB jeden z drukarzy pana S., pan B., który w zakładzie małej poligrafii Naczelnej Organizacji Technicznej drukował dla mnie *Dziennik pisany nocą* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Nie wiem, czy drukował go nocą, czy za dnia, ale złapali go na gorącym uczynku. Złapali, dobrze postraszyli, a przerażony B. powiedział, co wiedział. O mnie niewiele – że jakiś student, że jakiś Krzysztof, o S. niestety znacznie więcej. Pana S. aresztowali, zrobili mu rewizję i znaleźli to, czego szukali – magazyn książek, matryc, papieru. Dopiero przy tej okazji dowiedziałem się, że S. miał swój mały sekret: był nałogowym alkoholikiem. Wpadł w łapska

Służby Bezpieczeństwa w najmniej szczęśliwym momencie – gdy był w tak zwanym ciągu i kiedy dzielni funkcjonariusze nalali mu szklanke wódki za informacje, okazał się tak rozmowny, że już na drugi dzień mogli go wypuścić.

Skontaktowałem się z żoną pana S., od niej dowiedziałem się, kiedy wyjdzie, a potem wydarzenia potoczyły się już szybko. Tego dnia około godziny 15.00 czekałem na ulicy Józefa Dietla i wypatrywałem swojego pechowego współpracownika. W końcu go zobaczyłem. Człapał nieco przymroczony. Podniósł na mnie mocno zmęczone oczy i bez zbędnych wstępów oznajmił:

– Panie Krzyśku, wszystko powiedziałem!

Włosy stanęły mi dęba na głowie. W rozgorączkowaniu zacząłem dopytywać.

– Wszystko, od początku... – dopowiedział pan S. ze smutną szczerością.

Biorąc pod uwagę, że S. należał do moich współpracowników od 1981 roku, to „od początku” obejmowało bardzo dużo. „Wszystko powiedziałem!” – dudniło mi w głowie, podnosząc ciśnienie krwi.

Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Krążyły mi po głowie rozmaite myśli. Mimo że stałem na czele dużej struktury, bo pracowało dla mnie w wydawnictwie bezpośrednio około 30 osób, a w kolportażu jakieś 25, to uświadomiłem sobie, że u żadnej z tych osób nie mogę szukać pomocy, żeby nikogo dodatkowo nie narazić.

Oczywiście trochę się spodziewałem, że kiedyś mogę zostać aresztowany, ale na to, że będę poszukiwany, nie byłem przygotowany. Zaliczyłem niby parę dni w ukryciu w grudniu 1981 roku, tamten lokal był już jednak nieaktualny, a innego nie miałem. Po głowie przetaczały mi się coraz bardziej posępne myśli. Ścigała mnie policja polityczna kraju bądź co bądź totalitarnego. A metody stosowane wobec przeciwników panującego ustroju bywają mało przyjemne. Obawiałem się tortur. Nie wiedziałem, ile wytrzymam, czy się nie złamię i nie sypnę współpracowników. Kto takie rzeczy może o sobie wiedzieć? Wiedziałem tylko na pewno, że jeśli tak się stanie, to natychmiast popełnię samobójstwo, bo nie umiałbym z tym żyć.

Spacerowałem po ulicy i nie miałem pojęcia, co robić. Zadzwoiłem do domu. Esbecy już tam byli. Drugi telefon wykonałem do mecenasa Andrzeja Rozmarynowicza, byłego akowca, stalinowskiego więźnia, doradcy prawnego Karola Wojtyły, a wówczas działacza Solidarności, człowieka wielkiego rozumu i odwagi. Nie znaliśmy się, ale nie miałem innego pomysłu. Był już wieczór, a ja plotłem do słuchawki bez większego sensu, nieskładnie prosiłem o pomoc i radę. Mecenas szybko się domyślił, o co w tym dziwnym bełkocie chodzi, i kazał mi przyjechać natychmiast do siebie do domu.

Przedstawiłem mu sytuację i pytałem, co powinienem zrobić. Rozmarynowicz szybko ściągnął do

siebie redaktora „Tygodnika Powszechnego” Krzysztofa Kozłowskiego i zaczęliśmy się naradzać wspólnie. Szczęśliwie obowiązywała wówczas amnestia – darowywano winę każdemu, kto przyznawał się do działalności antypaństwowej, nie wymagano sypnia innych, a jedynie oświadczenia o postanowieniu poprawy i zobowiązaniu do przestrzegania prawa. Ustaliliśmy, że pan mecenas ukryje mnie w swoim domu przez sobotę i niedzielę, a w poniedziałek rano odwiezie do prokuratury, gdzie dokonam swojego „ujawnienia”. Było to najlepsze rozwiązanie, bo chroniło przed aresztowaniem i przesłuchaniami. Jak znakomitym, szlachetnym i odważnym człowiekiem trzeba być, aby przyjąć do swojego domu, gdzie mieszka się z żoną i dziećmi, kogoś, kogo się zupełnie nie zna? Kogoś wprost z ulicy? Zawsze będę pamiętał troskę i pomoc, jakiej udzielili mi mecenas Andrzej Rozmarynowicz, jego żona i syn Michał.

Po nerwowym weekendzie, ale jednak w bezpiecznym otoczeniu rodziny pana mecenas, pojechałem z nim do prokuratury, gdzie złożyłem wyjaśnienia w zakresie znanym już SB, ale bez żadnych nazwisk, i oświadczenie o chęci działania zgodnie z prawem. Oczywiście byłem nieszczerzy, ale chciałem, żeby widzieli we mnie wystraszonego studencika, który nieopatrznie zaangażował się w jakąś tam opozycję jako szeregowy działacz, bez większego znaczenia. Tylko w ten sposób mogłem uchronić moich współpracowników i prędko powrócić do dalszej aktywności. Nie

interesowały mnie w końcu jakieś patetyczne gesty, nie interesowało mnie odgrywanie bohatera, interesowała mnie dalsza efektywna działalność, bez niepotrzebnych komplikacji. Skądinąd ani przez myśl mi nie przeszło stosowanie się do oświadczeniu o przestrzeganiu prawa, którego podpisanie uważałem za wymuszone w wyjątkowych warunkach i tym samym niewiążące.

Według mojej niekompletnej teczki personalnej w Instytucie Pamięci Narodowej w latach 1982–1983 Służba Bezpieczeństwa zajmowała się moją działalnością w ramach szerszej Sprawy Operacyjnego Rozpoznania „Arka”. Taki był sposób nazywania zadań, które otrzymywali funkcjonariusze SB. W 1983 roku nową sprawę – SOR o kryptonimie „Noe” – założono bezpośrednio i wyłącznie na moją osobę. Byłem kilka razy zatrzymywany, podlegałem rewizjom, ale nie było to nic wielkiego. Nawet gdy znajdowali w moim domu trochę „bibuły”, wruszałem ramionami. Choć doświadczenie, gdy trzech obcych mężczyzn przegląda o świcie w moim domu zawartość szuflad, kieszeni i łóżeczko mojego kilkumiesięcznego syna Mateusza, wywoływało złość i dojmujące poczucie bezsilności.

Mieli dokładną wiedzę o mojej działalności z lat 1981–1983, później już nie aż taką, no, może że niekoniecznie przestrzegam podpisanego zobowiązania. Nie mogli mnie jednak złapać na niczym konkretnym... albo nie chcieli? Przecież – jak się później

okazało – w moim otoczeniu działało kilku tajnych współpracowników SB, którzy na mnie donosili. Na pewno jednak zapamiętam na zawsze pierwszy pobyt w celi aresztu przy ulicy Mogilskiej i trochę szmeranego typu, który – gdy zostałem wprowadzony do celi – wstał, wyciągnął do mnie rękę i zachryplym głosem powiedział: „Cześć, jestem Zbyszek, jestem złodziejem mieszkaniowym”.

Do zatrzymań przez SB musiałem przywyknąć. Pewnego dnia, prowadzony z celi na przesłuchanie, spotkałem na korytarzu na Mogilskiej prowadzonego z przeciwnej strony Lesława Maleszkę. Zgodnie z zasadami konspiracji odwróciłem obojętnie oczy, udając, że go nie znam. Ku mojemu zaskoczeniu kątem oka złapałem, że Maleszka uporczywie się we mnie wpatrywał. Nie rozumiałem, dlaczego tak się gapi, lekceważąc wszelkie przyjęte reguły. Prawdę o legendzie SKS-u poznaliśmy wszyscy dopiero po wielu latach, a ja pojąłem, że nie było to żadne przypadkowe spotkanie, ale zaaranżowana identyfikacja mojej osoby przez tajnego współpracownika Służby Bezpieczeństwa.

Ze zrozumiałych względów moje możliwości działania były już mniejsze, ale znów rozkręciłem działalność, wciąż opierając się na zakładach małej poligrafii. Ze strukturami Solidarności nie kontaktowałem się i nie otrzymałem od nich nigdy sprzętu poligraficznego, a na „białku” czy „sicie” jako dość prymitywnych technikach drukarskich drukować nie

chciałem – szkoda było czasu i ryzyka dla czegoś tak marnej jakości. Koniec końców dzięki swoim kontaktom miałem dostęp do papieru, całkiem niezłego sprzętu oraz do intrologatorni. Wszystko to musiałem naturalnie przewozić: papier do drukarni, książkę do oprawy i tak dalej. W większości wykonywałem przedruki wydawnictw emigracyjnych, rzadziej wypuszczałem nowe utwory. Nakłady sięgały zwykle dwóch tysięcy egzemplarzy, czasem tysiąca, gdy w grę wchodziły grubsze publikacje. Do takich należały potężne tomiszczą *Dziejów polski porozbiorowej 1795–1921* Mariana Kukiela czy *Szkieców o literaturze emigracyjnej* Marii Danilewicz-Zielińskiej. W latach osiemdziesiątych wydałem łącznie ponad czterdzieści tytułów. Wydrukowałem też dwa numery czasopisma „Tędy”, które redagował mój następca z czasów „Bez Tytułu” Krzysiek Gurba.

Przez cały czas mojej działalności wydawniczej pojawiały się i wymierne straty, bo część nakładu trafiała w ręce Służby Bezpieczeństwa.

Więszą wpadkę zaliczył kolporter z Warszawy, niejaki K. Pewnego dnia przyjechał do Krakowa i oznajmił, że złapali go z dużą ilością wydawnictw. Miał małe dziecko, więc łatwo go zastraszyli i skłonili do podpisania dokumentu o współpracy. Zapewniał, że nie powiedział im nic, co umożliwiłoby dotarcie do nas, a na trasie z Warszawy nikt go nie śledził. Postawił sprawę dość uczciwie, podziękował za współpracę, w końcu poprosił, by się z nim nie kontaktować,

bo jest spalony i nic już dla sprawy działać nie może. Nie mieliśmy pewności, czy rzeczywiście tak łatwo się wykręcił od podania SB kontaktów, a tym bardziej czy faktycznie nie miał „ogona”. Na szczęście mówił prawdę: nic się nie wydarzyło ani u nas, ani w punktach, na które miał namiary. Na wszelki wypadek i tak zmieniliśmy te adresy, ale z groźnej sytuacji udało nam się wyjść obronną ręką, dzięki lojalności naszego warszawskiego kolegi.

Nie zdołałem jednak uchronić się całkowicie. W końcu za organizację nielegalnego druku stanąłem przed Kolegium ds. Wykroczeń. Pan mecenas Rozmarynowicz polecił mi wówczas innego zaangażowanego adwokata – Zbigniewa Cichonia. Byłem w zasadzie recydywistą, ale mecenas bronił mnie sprawnie, a władza nie okazała się zbyt zdecydowana. Stańło na formule „wybaczamy i puszczamy w niepamięć”. Znów wykaraskałem się z tarapatów, ale musiałem się starać, aby w tej niepamięci pozostać.

Ogólnie rzecz ujmując, nigdy nie doświadczyłem jakichś wielkich represji. Wszystko ograniczało się do krótkotrwałych zatrzymań i rewizji – w żadną tradycję martyrologiczną się nie wpisałem. Bohaterstwem zresztą nigdy nie byłem zainteresowany, po prostu chciałem robić swoje, wydawać książki. Byłem świadomy, że konsekwencje mogą być różne, ale na szczęście w moich wyobrażeniach wyglądało to gorzej niż w rzeczywistości. Najbardziej dokuczało mi życie w ciągłym stresie i napięciu. A ponieważ trwało

to kilka dobrych lat, więc kara za nielegalną działalność przyszła nie ze strony władz, ale organizmu. Do stałem jakiejś paskudnej nerwicy i przez ponad rok dość ciężko chorowałem. I to właśnie owe problemy zdrowotne w jakimś stopniu czyniły ze mnie pełnoprawnego „weterana”.

Zarabiałem trochę na swoich wydawnictwach, ale nie było mowy, aby się wyłącznie z tego utrzymać ani finansować jakiejś organizacji. Zajmowałem się więc również handlem legalnymi książkami, z nostalgią wspominając swoją księgarnię przy ulicy Grodzkiej. Teraz wystawiałem co niedzielę pod Halą Targową i sprzedawałem publikacje z legalnego obiegu. Nieraz solidnie wymarzęłem, ale opłacało się. Sprzedaż przynosiła niezły grosz, a dorabiałem sobie także handlem starodrukami na aukcjach organizowanych przez krakowskie antykwariaty. Miałem zatem z czego żyć, nielegalne zaś publikacje wydawałem z przekonaniem o słuszności takiej działalności.

Pewnej mroźnej niedzieli chciałem skorzystać z budki telefonicznej przy Hali Targowej. Okazała się zajęta przez esbeka, który kiedyś mnie przesłuchiwał. Poznałem go, on mnie nie. Ostatecznie widział na oczy więcej przesłuchiwanym niż ja esbeków, poza tym byłem porządnie opatulony, a na głowie miałem futrzaną, ruską czapkę uszatkę, którą mama przywiozła mi z Białorusi. Może dla esbeka wyglądałem na „swojaka”? Stałem w pewnym oddaleniu i słuchałem, udając zainteresowanie jakimiś owocami.

Dziarski funkcjonariusz meldował, że pod Halą Targową znajduje się stoisko z podziemnymi wydawnictwami. Wskazywał nawet dokładnie miejsce. Chodziło o pewnych warszawiaków, którzy zjawiali się tam co niedzielę. Esbek widział, jak podchodzą do nich ludzie i kolporterzy po nieprawomyślne druki, ale sam nie chciał interweniować. Zrozumiałem, że zanoszą się na poważniejszą akcję, więc zaraz podszedłem do przybyszów ze stolicy, zresztą całkowicie mi obcych, mówiąc:

– Zwijajcie te książki, bo za piętnaście minut najpóźniej jest tutaj ubecja i was wszystkich zgarną!

Spojrzeli na mnie dziwnie. Od pewnego czasu walczyli dzielnie z zębem rozgrzewającymi trunkami, więc byli już nieco podpici. Nie bardzo wiedzieli, czy faktycznie mają do czynienia z przyjacielem, czy kimś, kto raczej pragnie zdobyć ich zaufanie, może nawet w ramach zadań „służbowych”. Gdyby wiedzieli, czym od lat się zajmowałem! Nie wiedzieli, więc łypali podejrzliwie. Książki jednak pochowali, a ja miałem satysfakcję i swój mały rewanż na SB. W końcu spaprałem im akcję i to wskutek mojego własnego podsłuchu! Podsłuchać esbeka – jakaż to była przyjemność. Długo nie opuszczał mnie wewnętrzny chichot.

Jan Krzysztof Kelus śpiewał kiedyś: „dochodzimy swoich racji papierową amunicją”. Tak właśnie przestrzegałem swoją misję. Wydanie nielegalnej książki poza cenzurą w nakładzie dwóch tysięcy egzemplarzy

było jak wystrzelenie w komunę dwóch tysięcy pocisków. Gdy zakończyłem druk jakiejś publikacji, miałem poczucie swojego małego zwycięstwa. Bo książka jest czymś nieodwracalnym – będzie istnieć i będzie czytana. Ta nieodwracalność niezwykle mnie motywowała. Z dumą i satysfakcją dźwigałem paczki z wydrukowanymi tytułami, wiedząc, że one zaraz trafią do ludzi, a „tamci” nie będą mogli już z tym nic zrobić ani tego cofnąć⁵.

Znaczenie nielegalnych wydawnictw było ogromne. Kształtowały świadomość, były głosem wolnym, wolność od cenzury ubezpieczającym. Mówiły to, o czym nie pisały gazety i książki z legalnych wydawnictw, często wartościowe, ale które nie mogły przecież zamieszczać wszystkich treści. Publikacje podziemne mogły. Były też widocznym znakiem oporu, znakiem, że ktoś cały czas działa i wbrew zabiegom służb wydaje nieprawomyślne treści. Nie miałem pomysłu, jak obalić komunę, ale znalazłem odcinek frontu, na którym mogłem skutecznie walczyć. I bez względu na to, jaki rzeczywiście wpływ miały działania opozycji na przemianę '89 roku, to jednak odnoszę dzisiaj wrażenie, że podziemny ruch wydawniczy należy do bardziej niedocenianych elementów tej wojny. Nie były to wszak spektakularne manifestacje czy strajki, jednorazowe wydarzenia, łatwo

⁵ C. Kuta, *Niecenzurowane. Z dziejów drugiego obiegu wydawniczego w Krakowie w latach 1976–1990*, Instytut Pamięci Narodowej, Kraków 2019, s. 320–341.

zapadające w pamięć. Sam na takich bywałem i rzucałem kamieniami w zomowców, ale nielegalna działalność wydawnicza przynosiła przecież lepszy skutek, skutek długoterminowy. Kropla drażyła skałę. Znaczenie podziemnej poligrafii docenił jeden z „naszych” autorów – Gustaw Herling-Grudziński, mówiąc w 1998 roku w wywiadzie dla TVP:

Ja za bohaterów uważam tych, co robili nielegalną prasę i nielegalne książki wydawali, tzw. drugi obieg. Nie chodzi o to, aby chodzić ze strzelbą po ulicy, chodzi o to, żeby robić rzeczy, które wymagają odwagi i ryzyka i Polacy to robili [...]. To był wyczyn i to jest swego rodzaju bohaterstwo w walce cywilnej.

W tym studenckim okresie nie znalazłem ostatecznie odpowiedzi na pytanie, jaki jest, w znaczeniu absolutnym, sens ludzkiej egzystencji, ale nauczyłem się sam nadawać sens mojemu życiu i otwierać szeroko oczy na wewnętrzne energie i możliwości.

Nota o autorze

Krzysztof Budziakowski, krakus z dziada pradziada, urodził się w 1958 roku. W czasie studiów (filozofia na Uniwersytecie Jagiellońskim) aktywnie włączył się w działalność opozycyjną. W 1980 roku był jednym z członków Grupy Inicjatywnej Niezależnego Zrzeszenia Studentów UJ, a później Klubu Myśli Patriotycznej „Jagiellonia”. Został także wydawcą i redaktorem prowadzącym pisma społeczno-kulturalnego „Bez Tytułu”, które powstało pod auspicjami NZS. Walka o wolność słowa i myśli stała się od tej pory naczelną ideą i pasją krakowianina. W 1981 roku Budziakowski założył niezależne wydawnictwo NZS UJ „Jagiellonia”, zaangażował się w działalność wydawnictwa ABC oraz założył legalną księgarnię rozprawdzającą nielegalne wydawnictwa. W czasie stanu wojennego prowadził podziemne Krakowskie Towarzystwo Wydawnicze, w którym, poza cenzurą, wydał kilkadziesiąt książek i czasopism. W porozumieniu ze środowiskiem paryskiej „Kultury” dru-

kował polskie reedycje „Zeszytów Historycznych”, zajmował się również kolportażem nielegalnych wydawnictw i druków. W rezultacie stał się jednym z nieformalnych liderów i ogniw spajających siatkę zaangażowanych drukarzy oraz kolporterów, publikujących i rozwijających nielegalne wydawnictwa po Polsce Ludowej. Była to znakomita szkoła nie tylko konspiracji, ale i umiejętności organizacyjnych.

Za swoją działalność Krzysztof Budziakowski zapłacił wielokrotnymi zatrzymaniami, przesłuchaniami i rewizjami. Służba Bezpieczeństwa zajmowała się nim w ramach szerszej Sprawy Operacyjnego Rozpoznania „Arka”, a w 1983 roku rozpracowywała go już personalnie w ramach SOR „Noe”. W latach 1985–1989 – mimo wielokrotnych prób oraz poparcia licznych instytucji edukacyjnych – nie udało mu się uzyskać koncesji na prowadzenie legalnego wydawnictwa książek naukowych (jego nazwisko było już władzom wystarczająco znane).

W 1990 roku Krzysztof Budziakowski został jednym z założycieli dziennika „Czas Krakowski” i na krótko prezesem tego wydawnictwa. W tym samym 1990 roku założył Kancelarię Obsługi Inwestycji i Biuro Architektoniczne KB Projekt. Obok prowadzenia z powodzeniem własnej firmy ważnym aspektem jego aktywności stała się działalność charytatywna – jako biznesmen sponsorował i organizował liczne akcje dobroczynne. W ramach projektu „Dom od Serca” zaangażował się w pomoc ludziom, którzy ucierpieli

od powodzi. Kryptonim „Noe” okazał się zaskakująco proroczy.

W 2005 roku Instytut Pamięci Narodowej nadał mu oficjalny status osoby pokrzywdzonej przez reżim komunistyczny. W kolejnych latach dołączyły do tego laury od Stowarzyszenia „Sieć Solidarności”, Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz prezydentów Bronisława Komorowskiego i Andrzeja Dudy w postaci medalu „Dziękujemy za Wolność”, odznaki Zasłużonego Działacza Kultury, Krzyża Wolności i Solidarności, Medalu Stulecia Odzyskanej Niepodległości „Polonia Rediviva”, aż wreszcie Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski.

W pierwszej dekadzie nowego tysiąclecia czynnie włączył się w budowanie środowiska inteligencji katolickiej, które propagować miało etykę w działalności biznesowej i społecznej. Idea materializowała się w postaci Bractwa Świętego Benedykta. Patron nie był przypadkowy – dewiza *Ora et labora* najlepiej oddawała związek wartości z pracowitością. Bractwu poświęcił lata 2007–2009, pełniąc w nim funkcje Ekonoma i członka kapituły.

Żywiołem krakowskiego przedsiębiorcy wciąż pozostawały kwestie wolności słowa, dyskusji i dialogu. W latach 2008–2010 prowadził, jako właściciel i redaktor naczelny, internetowy portal informacyjny netbird.pl. Był także inicjatorem dyskusyjnego Klubu Wtorkowego oraz edukacyjnego „Kina Odkrywców Historii”.

W 2008 roku Krzysztof Budziakowski zasłynął jako organizator ogólnopolskiej akcji w obronie polskiej flagi, która została znieważona w jednym z telewizyjnych programów rozrywkowych. Jego głos wybrzmiał na tyle donośnie, że nie zagłuszyły go nawet uporczywe próby rozmywania odpowiedzialności ze strony przedstawicieli prokuratury. Akcja zakończyła się wysoką karą dla stacji telewizyjnej. Obrona wartości nie ograniczyła się do krajowego podwórka – w tym samym roku Budziakowski apelował do Gruzinów o usunięcie pomnika Józefa Stalina w Gori.

W 2009 roku Krzysztof Budziakowski doprowadził do ustanowienia medalu „Niezlomnym w Słowie”, honorującego zasługi tych, którzy swoją walką o wolność wypowiedzi narażali się na represje komunistycznej władzy, a często pozostawali niezauważeni. Został jednym z członków kapituły odznaczenia, które w krótkim czasie stało się prestiżowym wyróżnieniem.

Bogaty życiorys krakowskiego filozofa, wydawcy, przedsiębiorcy i filantropa łączy umiłowanie romantycznych ideałów z pozytywistycznym pragmatyzmem. I tak jak osobiste sukcesy biznesowe nie zwalniały go z podjętego przed laty zobowiązania walki o szlachetne idee, tak jego wrażliwość nie kolidowała z praktycznym zmysłem menadżera. Nieprzypadkowo w 2012 roku został rzecznikiem Małopolskiego Związku Przedsiębiorców i Pracodawców.

W tym samym roku Krzysztof Budziakowski założył Fundację im. Zygmunta Starego. Fundacja, już

z racji obranego patrona odwołująca się do konserwatywnych i patriotycznych wartości oraz wytrwałej służby dla narodu i społeczeństwa, postawiła sobie za zadanie propagowanie pracowitości i solidności, kształtowanie postaw patriotycznych, niepodległościowych i obywatelskich, obronę narodowych i państwowych symboli, pielęgnowanie tradycyjnych wartości etycznych, stwarzanie przestrzeni dla dialogu wolnego od ideologicznego zacietrzewienia, wspieranie inicjatyw służących dobru powszechnemu i dobru innych. Założenia te zaowocowały organizowanymi przez Fundację w ramach spotkań Klubu Zygmuntańskiego różnymi debatami i panelami dyskusyjnymi.

I na koniec – Krzysztof Budziakowski jest również twórcą, który za tworzywo obrał to, co mu najbliższe – słowo. Słowo wolne i w dwójnasób swobodne, ponieważ jest autorem artykułów, szkiców, składających się na niniejszą książkę, a także utworów poetyckich, które na swoich łamach publikowały m.in. „Arcana”, „Rzeczpospolita” i „Topos”. A w 2020 roku Biblioteka Toposu wydała jego debiutancki tomik poetycki *Choć nasze łodzie przeciekają... Notatki lipnickie*, który m.in. przez „Dziennik Polski”, literacko-artystyczną „Latarnię Morską”, kwartalnik literacki „Nowy Napis” czy miesięcznik literacki „Akant” okrzyknięty został tomem dobrej, dojrzałej poezji.

Indeks nazwisk

A

Adam z Bremy 32
Adelajda 23
Anders Władysław 161
Arystoteles 171
Augustyn, św. 70

B

Balcewicz Jacek 69
Baran Józef 127
Barbaro Paweł de 173
Bartula Piotr 70
Bator Małgorzata 159
Benjamin z Tudeli 27
Berne Eric 94
Blajer Wojciech 29
Bocian Ryszard 128
Bolesław Chrobry 11, 21–27, 30–
–32, 42
Bolk Lodewijk 85
Borucki Marek 115
Brandys Kazimierz 155
Bryll Ernest 117
Budziakowski Krzysztof 9, 12, 15–
–19, 71, 187, 188, 190, 191
Budziakowski Mateusz 178
Buko Andrzej 28
Burke Edmund 89
Buzek Jerzy 65
Bytnar Jan, ps. „Rudy” 99

C

Cieślak Bronisław 57
Churchill Winston 11, 96
Cichoń Zbigniew 181
Cukiernik Tomasz 121
Czaputowicz Jacek 140
Cyrankiewicz Józef 63

D

Dadak Kazimierz 7, 20, 126
Danilewicz-Zielińska Maria 180
Darwin Karol 79
Dawidowicz Krzysztof 163
Dawidowski Maciej, ps. „Alek”
99
Diamond Jared 85
Dmowski Roman 101, 103
Dobosz Józef 34, 41
Donimirski Jerzy 162
Dreszer Krzysztof 69
Duda Andrzej 153, 189
Dunbar Robin 86
Dziedzicka-Wasylewska Marta 129
Dzielska Maria 34
Dzielski Mirosław 57–59, 61, 70
Dąbrowski Kazimierz 105

E

Eliot Thomas Stearns 92
Ewagriusz z Pontu 37–40

F

Fidiasz 92
 Fischer Franz Joseph 69
 Franaszek Piotr 173
 Fryderyk Wilhelm II 11, 113
 Fukuyama Francis 16

G

Gallup Gordon G. 81
 Giedroyć Jerzy 174
 Głębocki Henryk 161
 Goethe Johann Wolfgang von 114
 Gomułka Władysław 63
 Gowin Jarosław 163
 Göring Herman 12, 14
 Grandin Temple 82
 Grynberg Henryk 53
 Grzybowski Tomasz 28
 Gurba Krzysztof 163, 180
 Gwiazda Andrzej 138

H

Harald I 23
 Heller Michaił 75
 Henryk II 26
 Heraklit 93, 94
 Herbert Zbigniew 157
 Herling-Grudziński Gustaw 174,
 185
 Hernandez-Paluch Maria de 171
 Himmler Heinrich 12
 Hołdys Wiesław 123
 Horney Karen 109

J

Jaczyńska Agnieszka 46
 Jagiellonowie 48
 Jan Paweł II 15
 Janicki Krzysztof 122
 Jedynak Artur 29
 Jefferson Thomas 126
 Jędrzejewski Wojciech 124

K

Kaczmarek Łukasz 29
 Kanapariusz Jan 22, 30
 Kant Immanuel 91
 Kanut Wielki 23
 Karkosza Henryk 172
 Kasprzycki Marcin 161
 Katarzyna II 11, 14
 Kelus Jan Krzysztof 183
 Kensy Tadeusz 128
 Kępiński Antoni 105
 Kiszczak Czesław 137, 139
 Kiszczak Teresa 139
 Kochnowski Roman 120, 130
 Kołakowski Leszek 75
 Komorowski Bronisław 189
 Kot Karol 53
 Kowalska Hanna 121
 Kozłowski Krzysztof 177
 Krasiński Zygmunt 55
 Kuderowicz Zbigniew 159
 Kukiel Marian 180
 Kuta Cecylia 184

L

Le Bon Gustaw 76–78
 Leśmian Bolesław 93
 Ludwik Fryderyk, książę Wirtem-
 berski 11
 Ludwik II Niemiecki 31

Ł

Łagowski Bronisław 102, 159

M

Madajczyk Czesław 134
 Magel Charles R. 81
 Maleszka Lesław 179
 Marek Aureliusz 33–35
 Masny Marcin 130
 Mazur Krzysztof 124
 Micewski Andrzej 165

Michałowski Jerzy 97
 Mickiewicz Adam 99, 102
 Mieszko I 21, 23, 24, 31
 Miodowicz Konstanty 163
 Misztal Edward 66
 Moczulski Leszek 30
 Morris Desmond 85, 86
 Mosbacher Georgette 54
 Mościcki Ignacy 14
 Mucha Eugeniusz 73

N

Napoleon Bonaparte 99, 114
 North Douglass 44
 Nowak Andrzej 23
 Nowak Edward 125
 Nyczek Tadeusz 171, 173

O

Olof I 23
 Orłowski Bolesław 114
 Ortega y Gasset José 76–78
 Otton III 23, 32

P

Pasierbek Wit 123, 125
 Pawłowski Ryszard 159
 Pisarek Walery 123
 Pisarski Mikołaj 126
 Plessner Helmut 85
 Pliniusz Młodszy 24, 36
 Pompeo Michael „Mike” Richard
 139, 142, 143, 144, 145
 Prus Bolesław 130, 131
 Przemyslidowie, ród

R

Remuszko Stanisław 121, 125,
 129
 Rokita Jan Maria 163
 Romanowska Maria 60
 Rozmarynowicz Andrzej 176, 181

Rozmus Dariusz 29
 Ruggiero Fabio 35

S

Samuelson Paul 44
 Santayany George 11, 14
 Seneka 5
 Sikorski Dariusz Andrzej 41
 Slobodchikoff Constantine 84
 Słowacki Juliusz 99, 100, 102
 Sowa Jan 49
 Stachniuk Jan 101
 Stalin Józef 12, 75, 190
 Stanisławski Wojciech 121
 Starowiejski Marek 36
 Stasik Ludwik 162, 171, 173
 Stróżewski Władysław 159
 Strzelczyk Jerzy 34, 41
 Sulikowski Andrzej 173
 Surdykowski Jerzy 122, 123
 Szujski Józef 64
 Św. Stefan 24
 Św. Wojciech 22, 26, 27, 30

T

Talleyrand Charles-Maurice de
 66
 Terlecki Ryszard 153
 Thietmar, biskup 22, 26, 27
 Tomasz z Akwinu, św. 79
 Tropsch Hans 69
 Twain Mark 85

U

Urbańczyk Przemysław 31

V

Vetulani Jerzy 127, 128

W

Waal Frans de 83
 Wajda Andrzej 133

Wałęsa Lech 136–139
Weiss Szewach 53
Westoll Andrew 75
Więclaw-Solny Lucyna 69
Wiśniewski Wojciech 165
Wojewódzki Jakub 147,
148
Wojtyła Karol 176
Woleński Jan 120
Woźniak Marcin 29
Wyspiański Stanisław 99
Wyszkowski Krzysztof 138

Z

Zadencki Jarosław 50, 51, 161,
163, 164
Zaczek Marcin 173
Zagajewski Adam 160
Zakrzewski Stanisław 31
Zegna Ermenegild 58
Zelnik Jerzy 127
Zieliński Antoni 162
Zinowiew Aleksandr 73–75
Zygmunt Stary 18, 119, 145, 152,
190



Krzysztof Budziakowski urodził się w Krakowie w 1958 roku. Studiował filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim. W latach 1980-1989 organizował wydawanie książek i czasopism poza zasięgiem cenzury. Inicjator wielu działań społecznych i filantropijnych. Publikuje szkice i utwory poetyckie m.in. w „Arcanach”, „Toposie” i „Rzeczpospolitej”.

„Ten zbiór esejów stanowi kolejny wysiłek Autora w ramach jego prywatnego programu mającego na celu uzyskanie przez Polskę jak najdalej idącej suwerenności. Nie sposób nie zgodzić się z przedstawioną przez niego diagnozą – potrzebne jest głębokie przewartościowanie sposobu myślenia i działania Polaków”

(ze wstępu prof. Kazimierza Dadaka)

